

### Rozdział III

Zbudziło mnie ciche westchnienie, świecy płomień drżący, głowę podniosłem ciężką, na ręce co pióro i papier trzymały, palce inkaustem splamione, mankiety brudne od wiecznego szorowania po nie wyschniętych literach, rzędach cyfr, myśli czyniąc tym niejasne, zamglone, uciekające w popłochu samych siebie, a to przecież tylko roztargnienie urzędnika bankowego drugiego, czy trzeciego stopnia. Zresztą jakie to ma znaczenie? Jakie to ma znaczenie? Odszukałem twarz w lustrze na przeciw, na nim odbitą płomieniem, zarost ciemny na zapadniętych polikach, na chudej podłużnej twarzy, ciemne podkrążone oczy nadawały wyraz ciągłego zmęczenia. Nieogolony - jak długo? Bez odpowiedzi. Pisałem coś - co? Bez odpowiedzi. Spojrzałem na papier, zeszyt, zmięty w zaciśniętej lewej dłoni, rozprostowałem, litery zamglone, rozmazane jakimś szaleństwem, jakby walką samych z sobą o przetrwanie, o słowo, o zaistnienie.

Westchnienie się powtórzyło gdzieś za plecami, w ciemności pokoju, odwróciłem się na krzesło powoli. Skrzypieniem mącąc ciszę. W krąg słabego światła, z drzwi otwartych, przesunął się ... teraz ujrzałem wyraźniej, chłopiec lat może dziesięciu, w koszuli białej, pogniecionej, spodniach krótkich do kolan.

- Babcia obiad Panu podaje i zapytuje, kiedy Pan za czynsz zapłaci - wyseplecił podając mi metalową menażkę.

- Czysz? - spojrzałem na niego nie rozumiejąc. Rozejrzałem się po pokoju. Łóżko pod ścianą, nad nim okno. Wziąłem do ręki świecę, wstałem, przybliżyłem się do chłopca, cofnął się nieznacznie, podszedłem do łóżka kocem zaścielenego, ręką po omacku dotknąłem, okno szarzało wysoko, wspiąć bym się musiał po poręczy łóżka, aby cokolwiek dojrzeć. Stół, krzesła dwa, półka zawieszona na ścianie. Wszystko jakby się zgadzało. W rogu stała tylko szafa jednodrzwiowa, koślawy cień na ścianę rzucając, której istnienia wcześniej nie odnotowałem, przy niej umywalka, z kranu, której kap, kap na dno. Też wcześniej nie odnotowałem. Jak i chłopca, jak i czynszu przecież też nie spostrzegłem, bo jak, gdzie, w Maison de Sante?

- Czysz? - powtórzyłem.

- Tak, babcia kartkę podaje - wysunął z kieszeni spodni pognieciony skrawek żółtego papieru.

- 36 rubli 45 kopiejek blaszanych plus za wikt i opierunek za trzy miesiące płacone? - popatrzyłem na malca stojącego przede mną, trzymając kartkę,

nie pojmując niczego. Musiałem jakoś groźnie wyglądać, krzywo spojrzeć, gdyż nim myśli jakiegokolwiek zgromadziłem, chłopca już nie było i tylko tupot zostawił po sobie. Wyjrzałem za nim na korytarz, gdzie rząd drzwi po jednej i drugiej stronie w równych odstępach się ciągnął, blado oświetlonych trzema żarówkami wyblakłymi ze starości, może co dziesięć metrów oddalonych od siebie. Palcami odszukałem przełącznik na ścianie swojego pokoju, przekręcając to w prawo, to w lewo próbowałem nadać światła tej sytuacji niepojętej, jakże niejasnej. Bo przecież ... Bezskutecznie.

Obiad, poczułem głód w sobie, otworzyłem menażkę, odczepiłem łyżkę od pokrywki, zupa ziemniaczana, polewka, wręcz z samych paru sztuk niedogotowanych ziemniaków, szybko wychlipałem. Grunt, że ciepła. Na stole metalowy kubek, w nim resztki chyba kawy, czy jakieś lury węchem odszukałem. Łyknałem, skrzywiłem podniebienie od goryczy. W kranie jedyne pokrętło odkręciłem zgrzytem metalu, ciecz, może to tylko w świetle świecy, beżowa, leniwa cienka stróżka. Twarz zimną wodą zmoczyłem, rękawem wytarłem. Jeszcze raz powtórzyłem i jeszcze raz. Po pokoju się rozejrzałem. Czy to sen miałem? Wskoczyłem na łóżko, co by w oknie, jego widoku znaleźć czegokolwiek potwierdzenie. Rękoma się podciągnąłem, wieczór już musiał być późny, bo prócz swego bladego odbicia w chłodzie brudnej szyby niczego nie dostrzegłem. A przecież kraty w oknie, pamiętałem. Przeciwległy budynek z tryptykiem okien, pamiętałem. Wróciłem do stołu, usiadłem na krześle drewnianym, zeszyt zapisany drobnymi, pochyłymi, miejscami rozmazanymi literami. Przekartkowałem. Miejscami mignęły mi rysunki odręczne, pośpieszne, czasami tylko szkice, czasami twarz odlegle zamyślona, czasami włosy niesforne wiatrem podszyte, czasami ... Rysunki? Rysunków nie pamiętałem. Pamiętałem natomiast, wręcz byłem pewien, że pisałem, zresztą mój charakter pisma, litery chylące się raz w prawo raz w lewo, rozdygotane, raz drobne, raz tak mocno pochyle, że nie sposób bym mógł sam siebie przeczytać. Podobno charakter pisma jest pochodną umysłu - gdzieś, skądś wypłynęły mi słowa Doktora Tarr. Ale rysunki, skąd one? Pierwszy na chybił trafił wybrałem, do migotania świecy zbliżyłem, nawet kolory na nim dostrzegając, brązów tonacje, czerwieni co w krzyku ust kobiecych zamarła, czarne kruki tym próbując spłoszyć, co na niezliczonych gałęziach drzewo obsiadły, chmury spiętrzone pełne przychodzących z zastrzeżeniem błędu na twarzach jak strony książki pełne tych, którzy wiedzą lepiej, pełne tych którzy udają. Powietrza zapragnąłem, wyjść, przestrzeni, duszno tu, duszno. Za kołnierzyk chwyciłem, poluzowałem zaciskające się na szyi bez tchu dłonie.

Wybiegłem na korytarz, po obu stronach rząd drzwi ciągnących się w nieskończoność. Nie ważne. Jak przez gęstą mgłę, jak przez obłok Oorta pełny odpadów, śmieci wyrzucanych z układu. W lewo. Do klatki schodowej, tam po schodach o stopniach wytartych latami, zimnej poręczy martwymi kwiatami z mosiądzu, zbiegłem, trzy piętra naliczyłem, zsunąłem się miejscami, przewracając, wypadłem przed drzwi otwarte na oścież w chłodne powietrze wieczoru i półmrok bramy, co z jednej strony wrotami z kraty stalowej prowadziła na ulicę, z drugiej na podwórze, z którego dochodziły dźwięki muzyki dawnej, przedwojennej, gdzie męski głos, poprzez trzaski gramofonu w jakimś otwartym na oścież oknie śpiewał smutno w rytmie tanga. Słyszałem słowa, trzaski gramofonu, zapomnianą melodię.

*Chryzantemy złociste  
W kryształowym wazonie  
Stoją na fortepianie,  
Kojąc smutek i żal.  
Poprzez łzy srebrno mgliste  
Do nich wyciągam dłonie,  
Szepcząc wciąż jedno zdanie:  
Czemuś odeszła w dal<sup>26</sup>*

Czemuś odeszłaś w dal? Czemuś odeszła w dal? Przywarłem do ściany, oparłem się ciężko, cegły pod dłońmi chropowatością świata. Nogi się ugięły, nie znacząc drogi. Przysiadłem, oparty. Nie - zaprzeczyłem słowom, nie - zaprzeczyłem nutom, nie - zaprzeczyłem wątpliwością wypełzłym, byłem pewien, że nie, bardziej czując niż wiedząc, bardziej śniąc niż żyjąc, bo przecież ... cóż ja wiedziałem z otaczającej mnie rzeczywistości. A może to ja odszedłem i przyszedłem tu nie wiedzieć gdzie, kiedy i po co? Patrzyłem spod ściany na wspinające się wokół mury pełne okien, coraz mniejszych im wyżej, coraz gęściej położonych im wyżej. Bez nadziei się wspinających w nadziei dotarcia do nieba. A gdzieś tam wysoko przecież kawałek nieba. A tu, otoczony okiennym murem niczym przegrany gladiator na arenie rzeczywistości. Odszukałem otwarte okno, z którego dochodziły słowa piosenki. Biała firanka, a raczej szarawa w poświacie wieczoru, powiewała z wątpliwością bezwietrznie. Niczym flaga na barykadzie strąconych marzeń. Kapitulacja. Kapitulacja. Kapitulacja, zawtórowały koła żelazne inwalidzkiego wózka toczącego się przez podwórze z resztkami ciała,

---

<sup>26</sup> fragment piosenki "Chryzantemy złociste" autorstwa Zbigniewa Maciejewskiego

z rozszarpanym weteranem, poległym żołnierzem którejś z nigdy niekończących się wojen.

- O patrzcie go, ledwo co wrócił, a już pijany - rzuciła przechodząca obok mnie kobieta, spluwając mi pod nogi. Jakieś brudne dzieci stojące przy jedynym tu drzewie, bezlistnym, zaśmiały się, może ze mnie.

- Nieprawda - wycharczałem.

- Nieprawda - warknąłem za odchodzącą, pod koła żelazne, w okno z melodią.

Wspiąłem się po chropowatości ceglanej ściany, oparłem plecami, wysoko niebo błękitne, wysoko białe obłoki przesuwające się w kwadracie murów. Patrzyłem na ptaki kołujące w słońca promieniach. Wolne. Przestrzenie tam wysoko, nie dla mnie poczułem lękiem zakwitłym kroplami potu na skroniach.

*Jeszcze tynk łuszczy  
ścianami przeszłymi  
kurzem stoją rany  
jeszcze stopy rozpędem  
godzą rutynę z obojętnością  
jeszcze emocje chłodem patrzą  
oknami deskami zabitymi*

*i nagle ty  
w ogrodzie dalekim  
ruchem jedynym  
skrzydeł motyli  
sprawiasz że znów  
maluję ściany błękitnym niebem  
i w słońcu drzwi otwieram na oścież*

Nie wiem, nie wiem, przesunęło się skurczem skowytu przez twarz. Nic, nie wiem. Krok za krokiem powłócząc, zgarbiony sobą w cień bramy się schowałem. Do przeciwległego krańca dotarłem, gdzie krata ozdobnie grawerowana w odległej przeszłości wypuścić mnie na gwar ulicy nie chciała. Trzymałem pręty mosiężne, zimne w dotyku, cieniem pokryte, dłońmi zaciśniętymi. Twarz wcisnąłem pomiędzy patrząc na ludzki zgrzyt przesuwający się ulicą bezimiennie.

*Is there anybody out there?  
Is there anybody out there?*

*Is there anybody out there?*  
*Is there anybody out there?*<sup>27</sup>

Wypłynęło ze mnie pytaniem. Zawróciłem przestając szarpać myślami kraty zamkniętej bramy. W klatkę schodową skręciłem czując ciężar na ramionach, czując napływającą pamięci wodę mętną, bezdenną, czarną. Rozpoznawałem z wolna poręczy chłód, stopnie po dwanaście, zakręt i znowu dwanaście. Farby zielonej kiedyś łuszczące się wspomnienie na ścianie. Miliony stopni wznoszących się od zawsze w zaduchu wilgoci, zapachów egzystencji kłębiące się za drzwiami w korytarzach odchodzących po prawej i lewej stronie mojego wspinającego się ja. Dotarłem, przez słońce w brudnych szybach klatki schodowej, dawne wyblakłe witraże z zielonych i niebieskich szkiełek. Ostatnie piętro, korytarz w prawo, linoleum na skrzypnięciach drewnianej podłogi. Żarówki blade przesuwające się nad głową idącą krokami. Dotarłem. Zielone drzwi pomalowane farbą olejną, kolejną warstwą zamazującą poprzednich właścicieli, wciągając ich w niebyt przeszłości gnijący w ścianach ceglanych, w landschaftach na ścianach i obrazach matki Boga wiszącej tu od zawsze. Westchnąłem, wzrok mimochodem podnosząc, zamarłem dostrzegając na drzwiach tabliczkę białą z wymalowanym czarną farbą nazwiskiem właściciela mieszkania: Józef K. Przeliterowałem jeszcze raz. Numer na drzwiach się zgadzał. Co u licha - pomyślałem. Rozejrzałem się po skąpo oświetlonym korytarzu. Wszystko się jakby zgadzało, wszystko jakby się rozpoznawało w mojej głowie. Tylko ten Józef K? Józef K. Józef K. Nacisnąłem, klamka wytarta ustąpiła o ciężale. Z uchylonych drzwi sfrunął list w białej lśniącej urzędowej kopercie. Podniosłem przeczuwając pukanie realności do mych drzwi. Świeca zostawiona na stole jeszcze migotliwym blaskiem lizała ściany. Blżej okna, aby resztkami dnia, rozerwałem kopertę, przedzierając lak pieczęci bankowej, skruszony padł na podłogę. Pismo urzędowe wzywające przed oblicze dyrektora na dzień dzisiejszy datowane, na dzień dzisiejszy wzywające. Pismo bankowe, urzędnicze. Odruch mój, wyprostowałem plecy, przecesałem palcami przetłuszczone włosy. Lata urzędnicze wykształciły odruchy psa. Odruchy - tak, czyż to nie ten cudak Pawłow, który kazał w Maison de Saint skakać wyimaginowanym psom na odgłos blaszanej miski i światła w żrenicach. Wszystko się tak kłębi w mojej głowie chaotycznej. Wszystko poczułem to ściskając dłońmi myśli jak w imadle. W odruchu, niż w rozumie, wyciągnąłem z szafy narożnej

---

<sup>27</sup> fragment Pink Floyd - Is there anybody out there?

garnitur szary z kamizelką o wytartych rękawach na łokciach, pogniecione spodnie, białą koszulę znalazłem pod łóżkiem, krawat czarny z wyblakłym złotym znakiem banku. Pod wpływem pisma urzędowego, podpisem zawiłym opatrzonemu i pieczęcią czerwoną dla znaczenia swego, niczym rozkaz generała, dygnitarza za mahoniowym biurkiem. Bezapelacyjnie, bez odwołania, bez sprzeciwu odbiorcy wgniecionego w niezachwiane litery, równe linijki, szablon wypracowany latami psychiatrii przyczynowo skutkowej. Gdzie punktem wyjścia i ostatecznym rozwiązaniem jest ocena człowieka w cyklach kwartalnych, miesięcznych, tygodniowych, dniowych. Gdzie jesteś wart tyle co twój zysk dla banku w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin i niczym więcej. Ze stołu zeszyt odruchowo zgarnąłem, a może ostatnim wysiłkiem wolnej woli, chowając go w wewnętrzną kieszeń marynarki. Jeszcze guzikiem kieszeń zapiąłem by tam na sercu zaległ. Kroki ku drzwiom, ręka tuż nad klamką ..., ale zaraz, zatrzymać się nad krawędzią, bo przecież wieczór. Która to godzina? Spóźniłem się, a dyrektor spotkanie na dzisiaj, a bank, a gabinet stylowy, z karafka zimnej wody na biurku i lampą zieloną, od interesantów, sekretariatem oddzielony, tą strażnicą porządku, zamknięte przecież już. Jeszcze na niebo co fragmentem w oknie stało spojrzałem, za późno, za późno. Winą swoją się oblekłem. Siadłem ciężarem na łóżku, skrzypnęło. Zeszyt na powrót wyjąłem. Ciemno. Niedowidzę kształtu liter. Obrazów majaczących mgliście pytaniem.

*Jutro odwróciło się do mnie plecami  
każe iść za swoim cieniem  
jeszcze mówi  
chyba do siebie  
zapewne  
nie słyszę  
przywiązany do łóżka  
dymem myśli  
nie mam siły  
by zawiązać sznurowadła  
z pytań i odpowiedzi  
co językiem buta trzepoczą  
o bruk wytarty krokami  
donikąd*

Deszcz kroplami o szybę zbudził. Zwlokłem się bezsilnie z twarzą w brudnym lustrze się zderzając, z powolną strugą ciekącego kranu, dłonią co włosy przygładziła, z pismem urzędowym na stole. Wzdrygnąłem się, wzrok odwróciłem, nie patrzeć, byle choć jeszcze przez chwilę nie widzieć. Kubek opłukałem, żółtą cieczą gardło. Smak metaliczny rozlał się we mnie zimnem. Za oknem ryk syren fabrycznych, czerwienią wdzierającą, za drzwiami szurania butów krokami niezliczonymi, drzwi otwieranych i kneblowanych zamkami o stalowych zardzewiałych zasuwach pełnych zgrzytu w mojej głowie. Wzdrygnąłem się jakimś wspomnieniem. Drzwi otwarte, zamknięte i zatrzaśnięte prosto w twarz. Niczym maska własnej bezsilności. Jeszcze raz morda w lustrze z bezowocną próbą uśmiechu, przedzielona pęknięciem mętnej tafli szkła. Napięta, w szczęki ścisnąć listu co dopomina się urzędowo. Koszula, spodnie, krawat związałem, buty czarne rozchodzone, pepegi z przeceny spod dwóch przeciwległych ścian zebrane, hasłem powtarzanym niczym modlitwa "weź się w garść", "weź się w garść". Jeszcze ręka z dłonią do gardła powędrowała zaciskając się na nim, oczy udając wytrzesz, ten czarny mój żałosny humor, pomyślałem wychodząc z siebie. Już na schodach dostałem się w prąd rzeki ludzkiej, co w dół płynęła. Samotny ten co by pod prąd płynął jeszcze mi zamajaczyło i już przez bramę w rzekę co ulicą pełną palt, jesionek, folii przeciwdeszczowych, z rzadka parasoli czarnych. Bezimiennie szurały kroki o kamień i błoto, bezimiennie kroki po mnie.

*Zbyt długa ulica cmentarna  
pod numerem dwa  
długi mur wzdłuż  
za nim cisza grobami usiana  
żeliwne pręty ogrodzenia  
z zaciśniętymi na nich tysiącami osamotnionych dłoni  
zardzewiała brama donikąd  
dzieląca pozornie żywych i martwych  
próbujących jeszcze czas zatrzymać  
sprzedając swoje portrety trumienne  
i zdjęcia w rodzinnym albumie*

Przystanąłem nagle, o ścianę oparłem na tę wizję co wtargnęła tak nagle. Oczy przymknąłem, otworzyłem, wdech powietrza wziąłem, obraz rzeczywistości widząc ponownie serce uspokoiłem.

Trzymając się lewej strony kanionu kamienic coraz bardziej okazałych, szyb sklepowych, zapachów potęgujących głód, milcząco w milczącym tłumie, kołami czarnych wołg ochlapywany, dotarłem do złotych wrót cielca.

Gmach banku wznosił się secesyjnie nad moją zadartą głową, kolumny doryckie, akantem zdobione, portal niebywały podtrzymując się potęgą tu zgromadzonego pieniądza, lichwy odwiecznej. Okna wysokie kratą więzione wpatrywały się we mnie z wyższością, ty tylko trybik, stalówka i inkaust na biurku zdawały się mówić. Stałem tak przed drzwiami obrotowymi potrącany przez garnitury urzędników i szare palta petentów. A drzwi wciągały i wypluwały. A drzwi wciągały i wypluwały nie kończąc. Wreszcie bez woli swojej, popchnięty anonimowo, wpadłem do środka, wciągnięty potykając się własnymi myślami padłem na kolana przed strażnikiem w niebieskiej liberii. Zmierzył mnie wzrokiem. Rozpoznałem jego fizjonomię, on mnie wcale. Z wypracowaną bezosobową grzecznością pomógł się podnieść, choć widząc mój podniszczony garnitur urzędnika niższego szczebla, z wyższością wytarł o siebie białe nieskazitelnie czyste rękawiczki.

- Czego? - zapytał z całą mocą swej funkcji.

- Ja, ja do Szanownego Pana Dyrektora - niemalże dygnałem przed nim.

- Pamięta którądy?

- Pamiętam.

Nacisnął zielony guzik ukryty na ścianie.

- Wchodzi - wskazał otwarte dębowe drzwi taflą mlecznego szkła dzielone.

- Gdzie?! - krzyknął, gdy miałem już na marmur wypolerowany wejść. - Buty wytrze najpierw.

- Tak, oczywiście - spojrzałem bez myśli na swoje zabłocone buty, na wycieraczkę, wytarłem dokładnie, jeszcze spojrzałem na niego, jakby miał ocenić.

- Wejdzie - zezwolił łaskawie.

Wsunąłem się w korytarz długi, biały marmur i boazeria ciemnobrązowa, jeden pokój zamknięty minąłem, drugi, trzeci. Przed czwartym ławka dla interesantów, a na drzwiach zdobionych złotymi literami napis sekretariat. Zapukałem, odczekałem, odczekałem, niepewnie jeszcze raz zapukałem. Nacisnąłem zimną klamkę. Węza w mosiądzu. Cicho ustąpiły. Wszedłem. Dywan w perskie oko czujne, przepych, gobeliny czerwone na ścianach ze złotą nitką tkane. Biurko wielkie na podwyższeniu. Stanąłem nieśmiało przed. Wyciągnąłem rękę ku górze z listem w dłoni. Surduta rękaw z białym mankietem koszuli ujrzałem jak



pismo leniwie pochwycił. Chwila pełna szemrających ust nade mną minęła. Mlaskających w niezadowoleniu.

- Panie Cades, Pan wczoraj, Pan Dyrektor dzisiaj nie ma czasu, Pan musi czekać - odezwał się głos z wysokości biurka.

- Pan na ławce spocznie i czeka - dodał po chwili, szurając papierami na biurku na znak końca audiencji.

Oddał list. Wycofałem się zgięty do linii dywanu perskiego krokami bez słowa.

Ławka pod ścianą, oparcia grawerowane w metalu czarnym lśniącym, białe drewno. Zegar przede mną na ścianie okrągły wskazywał za chwilę dziewiątą. Minuta za minutą. Jednostajnie. Odezwał się dzwonek. Z drzwi otwartych na końcu korytarza, człowiek o rozbieganych oczach, rozpoznałem Pana Kierownika z odpowiednią szarfą dla swego stanowiska. Za nim wyszło w szeregu ośmiu szarych urzędników, z głowami spuszczoneymi, bez wyrazu jak cienie. Odprawa, przypomniało mi się. Odprawa przed tablicą. Tablicą na ścianie, jak krzyż martwego Boga, przybitej symbolicznie gwoździami siedmioma. Pełnej znaczeń nowej religii, bez znaczenia, wyrazów, kresek wspinających się i opadających i ciągle mało i mało. Przeszli obok szurając ciągnionym za sobą ciężarem winy wtłoczonej precyzyjnie w ich zgarbione plecy, żaden nie spojrzał, choć twarze ich przecież znałem.

*wydeptaliśmy ziemię słowami  
wycięliśmy śniące drzewa  
po horyzont milczymy  
choć jeszcze wierząc  
w nasiona baobabu  
z planety małego księcia*

Czy oby, czy na pewno, czy nie w złudzeniu oszukańczym samych siebie tworzymy?

Kolejne minuty. Godzina wybiła. Potem druga. Ktoś przysiadł obok, na chwile, w milczeniu tłamsząc w rękach nerwowo papier, wszedł, wyszedł, zgaszony, odmownie odprawiony. Minuty. Jakiś młody człowiek z nadzieją w oczach, pełny animuszu wszedł, wyszedł, zgaszony. Kolejna godzina. Zacząłem przeglądać zeszyt, czytać od początku. Pamiętałem stamtąd wszystko. Maison de Sante wyrosło przed oczami. Każde słowo, każde zdarzenie niepojęte. Przyglądałem się obrazom, wielu obrazom na stronach, obrazom przecież, że nie moich, ale i nie obcych, jakoś nieuchwytnie bliskich, chwilami. Próbowałem odczytać ich znaczenie na

poszczególnych stronach, upleść z sobą, ze mną. Czułem. Niektóre mówiły, inne ... pełne bólu. Wątpliwości. Im dłużej się wpatrywałem, tym czułem podchodzący do gardła krzyk. Nie, nie krzyk, może chwilami skowyt zraniony, wołanie bezsilne. Czasami zagubione ciepłe promienie słońca, ale czasami brzmiące jak ...

*Caroline says  
while biting her lip  
Life is meant to be more than this  
and this is a bum trip*

*But she's not afraid to die  
all her friends call her "Alaska"  
When she takes speed, they laugh and ask her*

*What is in her mind  
what is in her mind*

*She put her fist through the window pane  
It was such a funny feeling*

*It's so cold in Alaska  
it's so cold in Alaska  
It's so cold in Alaska<sup>28</sup>*

Gdy wskazówka zegara minęła pierwszą, usiadł obok mnie człowiek o kanciastej szarej twarzy, twardym spojrzeniu wiedzącego co chce osiągnąć, strój nienaganny, klient, zapewne inżynier przyszło mi do głowy, gdzie dwa i dwa to zawsze cztery i nigdy więcej ani mniej. Gdzie zaprojektowany most nie łączy, a jest jedynie zbiorem słupów wbitych w rzekę, pełnych nitowanych śrub stalowych, dokręcanych precyzją klucza. Gdzie dom, to ściany i okno, a dach to tylko ochrona przed deszczem, a nie miejsce, z którego można dosięgnąć gwiazdy. Gdzie ona nie jest drogą a jedynie celem, który należy osiąść i trzymać bezwzględnie w gąblocie trofeów. Ona? - przemknęło mi w tym galopie myśli, myśli jakby cały czas uczepionych, wczepionych we mnie.  
- Przepraszam szanownego pana - zwróciłem się do niego.

---

<sup>28</sup> fragment Lou Reed - „Caroline says II”

- Tak? - odwrócił się w moją stronę odkładając gazetę, jakby dostrzegł mnie po raz pierwszy albo patrzył przez powietrza miraże.

- Czy widzi pan, tu jakieś rysunki, obrazy? - podsunąłem mu otwarty zeszyt. Spojrzał, potem na mnie, jeszcze raz na zeszyt.

- Jakie rysunki?

- No tu - wskazałem pierwszy z brzegu.

- Tu nie ma żadnych rysunków, czy pan ze mnie żartuje? - spojrzał na mnie, potem jeszcze raz na zeszyt - jakie rysunki?

- Ja ... no tu - wskazałem pierwszy z brzegu.

- Tu nie ma ... czy pan wariat? - warknął.

- Ale ...

- Czy Pan wie, kim ja jestem ...?

- Przepraszam ... - wybełkotałem.

- Co za dzień ... - spojrzał bacznie na mnie, na mój garnitur urzędniczy, wytarty materiał - najpierw ta ... z jej sztuką, tymi cholernymi wierszami, obrazami - spojrzał jeszcze raz na mnie, odsuwając się z obrzydzeniem, rozpostarł na nowo gazetę - a teraz ten - syknął z nienawiścią do każdego kto nie jest z nim.

Otworzyły się drzwi, a w nich sekretarz kłaniając się w pas.

- Szanowny Pan wybaczy, że czekał - zwrócił się do niego - Pan Dyrektor już prosi do gabinetu. Kawy, herbaty? - podskakiwał wokół gościa niczym marionetka.

- Koniaku - rzekł oschle tamten - i tego - wskazał na mnie wchodząc do środka - zabierzcie stąd, to jakiś wariat, obrazy - i jeszcze jakby na odchodnym do mnie cedząc śmiech przez zęby - a może też wiersze?

Zatrzasnęły się drzwi, nastąpiła cisza pełna cykania zegara.

Marionetka, marionetka - kołatało mi się po głowie - wszak wszyscy jesteśmy marionetkami. Niczym ci szewcy opętanego twarzami Witkacego, którego próbowaliśmy wystawić na deskach Maison de Sante, w ramach terapii zajęciowej i zrozumienia mechanizmów i przyczyn naszego szaleństwa. Tak, teoria cholernego profesora Fethera.

Minuty, godzina i znów minuty.

Wyszedł, a sekretarz wezwał moją osobę. Przez sekretariat, za nim poszedłem, zapukał dyskretnie, uniżenie, otworzył drzwi bez czekania, przepuścił mnie, wszedłem. Słynny gabinet dyrektora, wielki, olbrzymi, biurko mahoniowe, żyrandol kryształowy, gabloty z historią banku, regały zastawione bilansami rocznymi spisowanymi cyferka po cyferce przez bankowych skrybów.

- Niech siada, Pan ... - spojrzał na kartkę na biurku w notesie grubym zdobionym żelaznymi klamrami i skórą świńską - de Cades.

- A, Panie de Cades - jakby przypomniał sobie - przecież Pan się tak dobrze zapowiadał, przecież Pan nawet kierował działem i co? I co się z Panem stało? - pokręcił głową nie oczekując odpowiedzi.

Skuliłem się na krześle.

- No niech się Pan tak nie garbi - przekartkował notes - Pan wie, że nie cierpię tego. W zdrowym ciele zdrowy duch. O mam.

Wyciągnąłem szyję by dostrzec. Założył złote cwikiery na czubek ostrego jak sęp nosa. Nachylił się czytając szeptem.

- Panie de Cades, Panie de Cades. Pan napisał - podsunął mi moje podanie o urlop - dwa tygodnie. Pomyślałem wtedy, dużo, na cholerę komu tyle urlopu, no ale dobrze, nasz długoletni pracownik, niech idzie, choć okres gorący, koniec kwartału, choć realizacja planu, a u Pana wiele do życzenia. A Pan co?

- Ja ... ja.

- Pan - przerwał mi ściągając cwikiery i machając nimi przed spojrzeniem moim błędnym - wraca po pół roku.

- Ja ... Panie Dyrektorze, ja, mnie nie było chyba niewiele, znacznie mniej, to jakaś pomyłka.

- Jaka pomyłka? - wyciągnął pismo na błękitnym papierze z koperty urzędowej, rozpostarł zamasyście - Obywatel ten i ten, numer, bla bla bla ..., przebywał od ... przez okres 6 miesięcy i 11 dni, podpisane Profesor Fether i Doktor Tarr. Widzi Pan 6 miesięcy i 11 dni. Panie szanowny, dobrze, że biurokracja dobrze, że przepis stosowny, rozporządzenie nadrzędne i departament kadr powiadomiony zawczasu.

- Ale ja ... - próbowałem na szybko zebrać myśli niepoukładane - ja tam byłem i owszem nie zaprzeczam. Dwa tygodnie urlopu i góra trzy tygodnie, no może cztery, bo ogień, pożar, Pan Dyrektor rozumie, poparzony, leczenie...

- Panie Cades, ja tu mam urzędowy dokument, przepis, paragraf wręcz. Ponad sześć miesięcy stoi i ruszyć się nie chce. Więc co mi Pan tu imputuje, skoro napisane jest literalnie.

- Ale ...

- Panie, Pan mnie już męczy. Ja już nie mam czasu dla Pana. Ja mam już zmiennika, Pan zbędny, Pan anulowany.

Siadłem, zapadłem się w krześle, siedziałem pusty niczym pogrzebowy bęben, wzrokiem przed siebie, nie patrząc, nie widząc, słowa jakby przez najgęstsza mgłę, gdzieś były, lecz nie dochodziły, rozmazane. Krople na

czole, powoli w dół najgłębszy, gdy serce jak młot nieprzytomnie w ściany murowane ceglami starymi, zbędnymi, anulowanymi.

- Pan się zgłosi do kadr, odprawę Pan dostanie - wstał wręczając mi jakiś papier, którego liter rozróżnić nie mogłem. Podniosłem się z ciężarem siebie, nogę za nogą do wyjścia na uwięzi siebie samego ciągnąc.

- Panie Cades, Pan mi się nigdy nie podobał - usłyszałem jeszcze za sobą wyższość na fotelu dyrektorskim - Pan taki zamknięty, nierozmowny, tak się nie pracuje w kolektywie. Panu brak życia. Żegnaj Pana.

*Maybe then I'll fade away and not have to face the facts*

*It's not easy facing up when your whole world is black<sup>29</sup>*

Idąc korytarzami, to w górę, to w dół, do działu kadr, mijany, mijałem, jakbym był powietrzem. Anulowany. Głowy, wzroku nie odwracałem, choć już za sobą, słyszałem szelesty, szumy, palce pokazujące. Jakby trąd miał na twarzy wypisany. Noga za nogą. Dotarłem. Kopertę w milczeniu wręczono. Bezdotykowo ruchem dłoni wyćwiczonym. Byle zaraza nie przeszła. Oczami niepatrzącymi byle zaraza nie przeszła. Jeszcze na sam dół po schodach dla personelu, do piwnic, do szatni, gdzie rzędy szafek identycznych metalowych, tylko numerem różniących. Numer służbowy ten, numer służbowy tamten. Identyfikator, plakietka wstążką do szyi, powrozem dla konia pociągowego. Tylko ... zaraz, przyjrzałem się bacznie wyblakłemu zdjęciu na plakietce, fizjonomia jakby moja, przesunąłem palcami po zapadłych policzkach, po krzywiźnie nosa, tylko ... dlaczego napis pod tą twarzą, przecież moja, mówił służbową czcionką: Józef K. Józef K. Józef K. Przypomniała mi się tabliczka na drzwiach do mieszkania, Józef K, Józef K. Wyciągnąłem z szafki jeszcze garnitur służbowy zastępczy, dwie koszule, krawat, kamizelka, grzebień czarny bez trzech zębów, stare buty ze sznurowadłami, co na wszelki wypadek trzymałem. Na dnie pod butami szara koperta z jakimiś wyblakłymi literami pochwał. Dyplom za wyniki, dumę banku, za wzór do naśladowania. Uśmiechnąłem się gorzko przeglądając. Tyle warty, że nic nie warty. Przypomniał mi się film wyświetlany zeszłego lata w kinie Casino przy Piotrkowskiej 67, tego jak mu tam Langa. Te tłumy maszerujących robotników, fabryka zje, przetrawi i wypluje. Bezużyteczni. Anulowani.

- Odliczone - wyrwał mnie z myśli, dozorca odhaczający na liście moje rzeczy, podsuwając papier do podpisania.

---

<sup>29</sup> The Rolling Stones - Paint it black

Odwróciłem się, trzymając w worku papierowym resztki kariery urzędnika bankowego, jakieś lekkie, zbędne, cały dobytek po dwudziestu latach pracy. Żalotne, choć czym tu się uśmiechnąć, gdy usta zasznurowane?

- Niech się Pan tak nie przejmuj. Nie Pan pierwszy, nie Pan ostatni - usłyszałem jeszcze za sobą i nie było to złośliwe, takie po prostu ludzkie, z doświadczenia wynikające. Trybiki wypadają i jedynie dyrektor i jedynie dozorca zostają. Ten drugi zawsze będzie miał co sprzątać.

Wypluły mnie więc drzwi obrotowe, wypluły. Zatoczywszy się niczym pijany, o ścianę gmachu bankowego oparłem się plecami. Przechodzili przed, przechodzili przeze mnie. Maszerowali równo. Niczym tonący, jeszcze wystawiłem twarz ponad linie pomyj usłyszanych. Łykałem powietrze, krople deszczu zimnego na języku. Zamknąłem oczy, dłonie przywarły do muru kurczowo. Porowatość ściany spływająca myślami przedziurawionymi ogarnęła mnie, przenosząc mnie gdzieś, kiedyś ...

Wiatr wiał porywiście, deszcz smagał jego twarz, kamienny mur przykościelnego cmentarza nie osłaniał skulonego z zimna ciała. Procesja potępionych przechodziła klekocząc równomiernie drewnianymi kołatkami. Dotknął mokrego kamienia by oprzeć zmysły o coś trwalszego niż obłęd. Nie pamiętał, nie rozumiał skąd tu się wziął, czuł tylko ścianę zimną za sobą. Niepewnie, zataczając się ruszył za ostatnim z procesji. Tłum zdławionym głosem intonował:

*There's no room for the weak, no room for the weak*

*Where will it end?*

*Where will it end?*

*Where will it end?*<sup>30</sup>

Mijał ulice pełne biedy i brudu, wynaturzeń i degeneracji, strażnicy z halabardami patrzyli podejrzliwie, ludzie z obrazów Bruegela wytykali go palcami, spluwając pod nogi, żółtą flegmą dzumy drążącej miasto. Nie rozumiał, nie rozumiał. Przecząco kręcił głową, w beznadziejności siebie. Dzieci w łachmanach, wytykające go palcami. Uciekając przed przedrzeźniającym śmiechem małych koszmarów, gdzieś zgubił procesję za którą szedł. Dzwonnik, Dzwonnik krzyczały. Wpadł przez półotwarte wielkie drewniane wrota do ciemnego pomieszczenia o niewyobrażalnej wielkości. Pod ścianami ktoś zapalił nieliczne kaganki, które więcej

---

<sup>30</sup> fragment: IanCurtis/Joy Division – „Day of the lords”

dawały duszącego dymu niż złudzenia światła. Padł zmęczony w ostatniej ławie. Zamknął oczy. A dzwony szalone biły, a dzwony szalone wzywały, ręce we krwi pociągały za sznury. De profundis – z głębokości swego serca wołam do Ciebie, bijcie, bijcie dzwony. Wołam Ciebie. Zawieszony na pętli największego dzwonu, skacząc pod jego krzyczącym sercem niczym ktoś w ciemności na drodze ku słońcu. Gdzie jesteś? Ręce, krwawiące od szorstkich sznurów wiążących w umyśle, którym rządzi nieznane pragnienie, bijące serce. Gdzie jesteś? Ja dzwonnik, rozwiąż mnie, rozplącz myśli, łagodnie całuj, obejmuj ślepego, Esmeraldo, ja dzwonnik ...

Szeptalaś moje imię, całowałaś delikatnie po przerażenia oczach, trzymałaś głowę, która się szarpała w ataku, ciało w konwulsjach, drgawki w chaosie. Powtarzałaś moje imię, niczym modlitwę o słońca blask. Powoli cię dostrzegałem nad sobą, powoli przeświecały słońca promienie przez twoje zwisające nade mną włosy, ściana, balkon, pod którym się ukryliśmy przed zacinającym deszczem, dotknąłem palcami twojej twarzy, to byłaś Ty, Esmeralda, ja dzwonnik.

*It's so cold in Alaska*  
*it's so cold in Alaska*  
*It's so cold in Alaska*<sup>31</sup>

Fizycznie, wewnątrz, otrząsnąłem się powiewem chłodnym co lufcikiem resztek umysłu stanął mi w poprzek drogi sennej, by zaraz znów zapaść głęboko.

Słońce uniosło delikatnie zaciśniętą powiekę, promieniem rozświetliło moją źrenicę. Zatańczyło powidokami obrazów.

*bliżej*  
*enganche*  
*bym poczuł szept na skroni*  
*co mówisz?*  
*nie mów*  
*proszę*  
*szeptaj*  
*otwórz językiem moje spojrzenie*  
*chcę widzieć słońce*  
*poprzez włosów kurtynę*

---

<sup>31</sup> fragment Lou Reed – „Caroline says II”

*w misterium tanga  
ciał  
dotknij krwi  
coraz szybciej płynie  
sentada  
dotknij*

Zwinałem się embrionalnie krokami tanga, tymi figurami we dwoje. Tak przyjemnie. Głosie mój z tryptyku okna na dachu spadzistym Maison de Sante. Głosie mój z oddali płynącym krokami tanecznymi, krokami wyśnionymi.

*It's so cold in Alaska<sup>32</sup>*

I jeszcze raz zawiało.

Ktoś potknął się o moje nogi. Przeklął. Splunął za siebie w nicość mnie. Ludzie szli nade mną pospiesznie. Szurając butami, chlapiąc kroplami błota swojego, myśli swoich na językach milczenia.

A słońce nieustająco szeptało: będę.

A słońce nieustająco szeptało: wbrew wszystkiemu – będę.

Szeptało.

I poczułem. I pomyślałem, odganiając resztki rzeczywistości, o grawitacji, tym na nowo, po wiekach milczenia, odkrytym oddziaływaniu co skutkiem zakrzywienia czasoprzestrzeni uczuć przez dusze tęskne na nieboskłonie kosmogonii jest.

Mur plecami wspierałem, by jeszcze lekki był. Ziemi pod stopami nadałem imię ciepłego wiatru. Powietrzem szedłem.

Dłonie przed siebie wyciągnąłem ku tobie ...

- Weź te łapy śmieciu - usłyszałem.

Warczenie owczarka niemieckiego agresją przy mojej twarzy, powstrzymywanego jedynie długością smyczy i ramienia policjanta

---

<sup>32</sup> fragment Lou Reed – „Caroline says II”



w czarnym uniformie. Czerń tak błyszcząca. Czerń czystością rasy panów odwiecznych.

- Wstawaj - warknął drugi, trącąc mnie drewnianą pałką zakończoną berłem metalowym z rdzą krwi zastygłej na srebrzystej powierzchni władzy.

Podniosłem się posłusznie, o ścianę twardą oparłem.

- Twoje rzeczy śmieciu?

Spojrzałem na porzucane na ulicy rzeczy mej przeszłości. Kiwnąłem głową.

- Zabieraj je, śmieciu i wynoś się - powiedziała czerń uniformu, czerń tak błyszcząca, czerń uniformu bez twarzy, silna swoją bezosobowością, czerń tak błyszcząca do mnie na kolanach, do mnie przy ziemi, z karkiem wygiętym, do mnie zbierającego resztki siebie z bruku zimnego ulicy.

Ulicami niekończącymi się poszedłem chwiejnie.

Przez bramę; po schodach, w milczeniu do nory dotarłem. Ukryłem się. Przed tym co za oknem, przed sobą ukryłem się.

*Cztery ściany  
sufit  
podłoga  
oko nie sięga łuk  
przestrzeni gwiazdzistych*

*tu okien brak  
drzwi zatrzaśnięte  
skowytem oskarżenia*

*i ja  
ja pośrodku  
wykrzyknik  
krzykiem niemym*

Dnia następnego, promień słońca, oczy moje, otworzyłem by zaraz zmrużyć. Ciepłem się rozlał po polikach, czole, powieki dotknął łagodnie. Wargami spierzchniętymi gorączką poczułem ciepło. Rękę uniosłem nad siebie, by dłonią, powidoki drgające. Otworzyłem jedno spojrzenie na drobiny świata, te atomy złożone, tańczące świetliście w świetle promiennym. Przesunąłem palcami przez ten rój leonidów jesiennych,

zawirowały. Jeszcze raz zakręciłem, patrząc. Ruch skrzydeł motyla w słońcu. I jeszcze raz i jeszcze raz. Zawirowały.

Stopy na deskach podłogi postawiłem. Usiadłem na skraju łóżka. Popatrzyłem po norze, ścianach czterech, oknie nad wezłowiem, a w nim słońce.

Na nie się zapatrzyłem, oczu nie mogłem oderwać, oczu nie chciałem oderwać. Wstałem, przed oknem, głowę zadarłem, ramiona rozłożyłem na boki, dłonie wewnętrzną stroną do słońca zwróciłem, nagi przed stanąłem, promienie na mnie, we mnie się śmiały dyskretnie, niepewnie, jakby nie wierząc, nie wierzyłem i ja jeszcze.

Chłonałem.

Chłonałem w każdym oddechu, przez dziurawe płuca, pełne świstów tych którzy wiedzą lepiej, zagubionym sercem którym rządził strach i skowyt, gasnącym spojrzeniem pełnym sprzeczności, myślami sponiewieranymi butami maszerujących tłumów.

Chłonałem.

Chłonałem.

Miastem w ciemnościach.

Miastem w nieustającym deszczu.

Miastem ...

Chłonałem łapczywie

usilnie

dłonie przesuwając

palce wyciągając

oczami szukając

słońca

blasku ciepłem spływającego

w witrynie gwiazd

mroku mego

zapatrzenia mego

A jak to złudzeniem? It's so cold in Alaska. Wątpliwość stawiała się murem przede mną.

*mur*

*ściana na widnokręgu okna*

*promienie coraz słabsze*

*coraz zagubione w sobie*

*chowając*

*cieniem*

Chłód tam, gdzie cień nastał, zwątpienie tam, gdzie nadzieja była.

Tylko jaka?

Tylko jaka?

Padłem, zapadłem w ciemność rozchodzącą się po ścianach, po skórze. Pełzającą we mnie, na mnie bezszelestnie. Skurczony do wielkości kurzu, w powietrzu pojedynczym będąc. Z wyciągniętymi przed siebie ramionami i rzucanego w wietrze zimnym, w wietrze zmiennym.

*I've got a little black book with my poems in*

*I've got a bag with a toothbrush and a comb in*

*When I'm a good dog they sometimes throw me a bone in*<sup>33</sup>

A wszystkie twarze wokół mówiły, nie możesz się zmienić. Nie możesz się zmienić, nie możesz się zmienić. To nie możliwe, tak przestać rozmawiać, reagować na kość, uśmiechać się do lustra. A wszystkie twarze mówiły, co za pomysł z tą czarną książeczką pełną niepotrzebnych wierszy. Zbędnych dla każdego, niepotrzebnych nikomu. A wszystkie twarze widząc obrazy w mojej chorej głowie, odwracały oczy pełne zdziwienia i troski o siebie. Oczy uciekające, dłonie trzymające mnie z przyzwyczajenia i pustki za rogiem. Nie możesz się zmienić, słyszałem. Nie możesz się zmienić, w połowie życia, w połowie cholernego życia. Spójrz została już tylko połowa a może siedem dni, miesiąc, rok, więc po co? Zapakowałem wtedy małą starą walizkę z naklejkami z podróży donikąd. Wielu podróży kończących się pod zamkniętymi powiekami pustych oczodołów okien.

W sen chyba jaki zapadłem.

*W magazynie rzeczy zbędnych*

*przechowuję siebie*

*na najwyższej półce*

*poza zasięgiem wiatrów*

*do walizki z naklejkami z miejsc w których nigdy nie byłem*

*włożyłem duszę*

*parę straconych myśli*

*popiół z niedokończonej powieści*

---

<sup>33</sup> fragment Pink Floyd – „Nobody home”

*serce wciąż bije podtrzymywane twoim odległym spojrzeniem  
lecz jak długo można oddychać?*

*w Cafe Puszkina spotkałem ciebie  
to było tak dawno  
a może nigdy  
zamieszkaliśmy na poddaszu wśród gołębi  
lecz to nie była rewolucja o której marzyłaś naga w czarnej pościeli  
o piątej nad ranem*

*zgubiłem Bayrona  
zgubiłem Schillera  
zgubiłem wszystko*

*teraz zbędny jak nieszczerzy uśmiech*

*złudzenia?*

Odwróciłem się na drugi bok, ścianą lepłą od potu oddychając, chyba śniłem.

Wrzuciłem zeszyt, ołówek, psujący się wciąż aparat fotograficzny z kliszą w kolorze sepia w środku. Niewiele z siebie prócz roztartych na bruku marzeń. Jeszcze mniej zostawiłem na drugim piętrze kamienicy, w długim korytarzu pełnym sprzeczności, gdzie zamknięte drzwi, cztery ściany i okno wysoko nad łóżkiem. Drogą pod górę, przez dzielnicę o pustych oknach i martwych witrynach, w których manekiny odgrywały dawno zapomniane sceny z czyjegoś życia, nawet mojego. Dotarłem na wzniesienie, gdzie Maison de Sante. Zacząłem liczyć marmurowe stopnie przybliżające mnie do drzwi. Dziesiąty, jedenasty, dwunasty. A drzwi głęboko osadzone w portalu zdobionym, jakby za małe, jakby donikąd. Kolumny akantem zwieńczone, a po bokach wejścia kariatydy w liczbie sześć dźwigające pierwsze piętro z rzędem okien wystawnych, łukiem kończonych, w których słońce odbijało się złociście. Promieniście, jakoś tak, jak jeszcze do mnie nikt. Nikt. Zadarłszy jeszcze głowę osłaniając oczy, dostrzegłem hełm patynowy pokryty miejscami mchem ciemnozielonym osadzony na tę budowlę stojącą w sprzeczności do wszelkich stylów architektonicznych mi znanych.

*Wspiąłem się schodami  
w ogrodzie konwalie kuszące  
w płatkach białej skóry  
okno ciemniało  
słów nie słyszałem*

*Ty i ja  
la decadanse  
w tonacji sennego kotysania  
kroki nie są potrzebne  
słowa są zbędne  
gdy powoli obracam ciebie w swoich myślach  
jesteś melodią, ja tylko nutą  
la decadanse  
przybliź się*

Poczułem w śnie jak rzeczywistość, poczułem w rzeczywistości jak sen.

O piątej trzydzięci, otrzepałem powieki bólem syren fabrycznych. Przetarłem spojrzenie zdejmując z siebie sen tak realny, tak fizyczny, że pozbyć się go nie mogłem. La dekadanse wirowało we mnie. La dekadanse.

Z ubłoconego palta, w którym zasnąłem wysypały się miedziane monety, blaszane kopiejki, wyciągnąłem jeszcze z kieszeni zwitek banknotów, z krwawiącą mordą nam dyktatora, nie wstając z łóżka przeliczyłem w mglistej poświacie wstającego dnia. Odprawa. Co za piękna nazwa. Jakaż artem bellum gereretur, oni powiedzieli won, a ty się uśmiechnij i bądź wdzięczny. A i jeszcze podziękuj, kłaniając się w pas. Tak nisko, do butów padając, kłaniając się wciąż. Jeszcze raz przeliczyłem. Po uregulowaniu długów powinno wystarczyć na miesiąc, może dwa. Głową opadłem, oczy w punkt na suficie. Czy coś czułem? Wściekłość, sarkazmem na mnie plującą. Ciszę. Pustkę. Bezcelowość. Przerazenie, co do gardła kneblem podchodzi. Małość. Nieistotność. Znow wściekłość. Strach przed przestrzenią tak nagle otwartą. A może to perspektywa szeroka, droga nowa brukowana bazaltem. Te cholerne rady, jak myśleć pozytywnie, zapisywane w pocie czoła na szkoleniach przez pracowników fabryki, warte tyle co nic. Małpki reagujące na wyobrażenie nagrody, bo nagroda jest zawsze o krok przed. Przełknąłem, te myśli błędzące bez celu. Z talerza co na stole się pojawił nie pamiętam, kiedy

czerstwy chleb smalcem posmarowany, przeżulem. Jak powietrze. Kubkiem po kawie żółtą wodę z kranu. Nie pomogło, nie splukałem pustki czasu mi tak bezwzględnie, wspaniałomyślnie darowanego. Ręka podniosła się, kubkiem o ścianę, metaliczny odgłos przetoczył się niczym śmiechu warty grom. Nie pomogło.

Na łóżko, do okna się wspiąłem, niebo stalowe, krukami usiane, co kołowały nad miasta czarnoskrzydłe, resztką z niknącej całości, odpadami, brudem, słabością mą. Zsunąłem się na łóżko, zawinąłem się ciężkim paltem w kokon, głowę schowałem ramionami, nogi podkurczyłem.

*La dekadanse* - zagrało mi w głowie tym głosem sennym, dłoń w oknie wysokim poddasza oddziału kobiecego dojrzałem, bym pochwycił, bym biegł.

*It's so cold in Alaska* - by zaraz usłyszeć z innej strony serca coraz szybciej krew tłoczącego, inne wołanie, krzyk w deszczy milknący.

Bujanie, bujanie do przodu i w tył, niczym lekarstwo przynoszące ulgę, niczym nieistniejąca matka obracająca wciąż nicością boga koraliki różańca, aż w końcu tańcząca samotnie w pełnych ludzi korytarzach Maison de Sante i nigdy niekończąca choroby trawiącej od pierwszych chwil skowytu życia. Mego życia!!!

*Na bieliźnianym sznurze  
od ściany  
do ściany  
w pokoju bez okien i drzwi  
rozwiesiła dygoczące korpusy lalek  
spinaczami ściśnięte bezgłowe  
koszmary szaleństwa wijące się w porodzie  
stłumioną nienawiścią  
wypętlę,  
wpętlę na powrót  
lobotomią  
bogiem ukrzyżowanym  
bezskutecznie leczone  
wyrwane  
korpusy lalek na sznurze*

Zwymiotowałem na brud podłogi żołądek cały, zataczając się splukałem usta i twarz pod kranem. Oczy cieczą zalałem. Gdybym jeszcze tylko te myśli wirujące wodą zalać, wodą splukać!!!

Z ręką w kieszeni trzymając zmięte banknoty korytarzem, schodami, bólem jakimś niepojętym znacząc każdy krok i poręczy chybotliwością zszedłem. Zapukałem do drzwi, gdzie dozorczyńni kamienicy mieszkała. Mały chłopiec, jej wnuczek tak mówiła, otworzył, odsunął się. Popatrzyła na mnie swoją kościstą naturą, małymi wąskimi oczami, cwańszymi niż setka handlarzy na rynku bałuckim.

- Wreszcie Pan raczył wstać? Trzy razy Alosze wysyłałam na piętro do Pana. Kiepsko, kiepsko Pan wygląda – chwyciła moją twarz oburącz wykrzywając pod słaby żarówki blask - niczym ten jak mu tam było Roskolnikow, student przeklęty.

- Mam pieniądze - przerwałem jej, wysuwając pieniądze z kieszeni. Oczy jej wyraźnie nagle rozszerzyły się z zachłanności, łapczywie szpony wyciągnęła, wyszarpnęła prawie papiery. Powstrzymałem, odliczyła mamrocząc pod nosem w sobie tylko znanym języku, fałszywym jak ona sama - a ten Roskolnikow to co za jeden?

- A nie słyszał? Mówię, że student, siekierą biedną Alone Iwanowne i jej siostrę. Straszne czasy, straszne czasy - pokręciła głową, splunęła za siebie, kreśląc krzyż na piersi od prawej poczynając.

- Tę lichwiarke? - upewniłem się.

- Ta, tę samą.

- Cholera - skrzywiłem się na samą myśl - a dawno to?

- Z tydzień minie. Ale czarna policja zamknęła, zapieczet ...

Nie słyszałem, nie słuchałem, gnany sobą na podwórze, przez bramę, ulicą Wschodnią przeskakując potoki ścieków i przekleństwa rzeki ludzkich śmieci, pod numer 12, schodami, piętro pierwsze, drzwi, klamka. Usunąłem się na podłogę, dłoń jeszcze na klamce trzymając, pieczęcią policmajstra zatrzymany. Po stopniach trzeszczących schodziła jakaś starowinka, popatrzyła na mnie, przybliżając się na odległość cuchnącego czosnkiem oddechu.

- Wszystko policja zabrała, tu nawet był kwit, gdzie po odbiór, ale ktoś pewnikiem zerwał.

- A który posterunek?

- A co ja duch święty.

I poszła, a ja z brakiem obrazu, portretu, pamiątki rodzinnej zostałem, ostatnie dobro co warte piętnastu papierów lichwiarke, wymienione na aparat fotograficzny i wypisanie pokątnie referencji, listów polecających

na rynku przy trasie aleksandrowskiej, za budą rzeźnika, gdzie polaczek drukarstwem nielegalnym się pałał, a co drzwi do Maison de Sante onegdaj mi otworzyło. Otworzyło w jakimś moim postępowaniu, zrywie na ten czas niepojętym, wręcz ślepo zawierzonym instynktowi zwierzęcia, któremu pół cholernego życia minęło wraz z początkiem letnich ciepłych dni. A portret ojca? Tego ojca, z którym cmentarnie próbowałem się pojednać bezskutecznie wśród kwiatów powalonych deszczem. Więc na co mi ten obraz, portret trumienny, więc na co mi ta farba na płótnie szarpiąca pamięć? Sprzedane na lichwie, na lichwę oddana przeszłość. Trzeszczące schody, poręcz brudem pokryta sklejącą rzeczywistość lepkością jakąś, lepem na muchy, bagnem ściskającym. Z bramy cienia wychodząc, w oczy promieniem słońca poprzez szczelinę w ścianach kamienic zwartych. Zapatrzyłem się, nagłym powidokiem drżącym na źrenicy oka. Promieniem tym jak ścieżką świetlistą w zwiewnej sukience, po smukłej dłoni, gotyckich palcach, przeszedłem na drugą stronę ulicy brukowanej kocimi łbami, po której z dostojeństwem przetoczyła się czarna wołga wypolerowana na glanc, ochlapując mnie ściekiem z rynsztoka strugą spływającym w dół ulicy. Do rogu doszedłem, co w cieniu tonął wysokich kamienic. Rozejrzałem się bezradnie. W prawo, w lewo. Gdzie jesteś słońce? Gdzie jesteś promieniu złocisty, którego w dłoń spragnioną spokojnego ciepła uchwyciłem? Popatrzyłem po ścianach, oknach, odrapanej ze złudzeń ciemności. Po murach wysokich, gdzie tylko pasek nieba pozostał. W głowie mi się zakręciło, może to głodem, bo przecież, nic od rana a tu słońce wysoko być chyba musi, skoro w powidoku moim, tym mignięciu na kliszy ślad.

*Kręci się  
każdym dniem  
celu pozbawiony  
zawieszeniem czasu*

*jego oddech beztlenowy  
bakteriami spojrzeń  
rozkłada się  
czynnikami pierwszymi*

*garść tabletek  
recepta na wszystko  
wódką  
w barach zapomnienia*



*tylko  
w słońce  
jeszcze  
spojrzy*

*tam jej oczy*

Wtedy dojrzałem na końcu ulicy w jakimś oknie, drżące nietrwale jak płomień świecy, by zaraz zgasnąć. Lecz ja poszedłem za tym słońcem mając w źrenicy oczu utkane. Przez siebie, czy przez nią ...? Może jak ślepiec, co tylko plamę jasności swoich dni rozpoznał i nim kształtu nabrała ...

- Obraz? Jaki obraz? - warknął posterunkowy, gdy stanąłem przy okienku niskim, tak aby zawczasu przed władzą nadać odpowiedni kształt kręgosłupowi.

- Portret ojca - powtórzyłem.

- Kwit ma?

- Nie ma.

- To obrazu nie ma.

- Jak? Jak to? Przecież tu rzeczy lichwiarki Alony Iwanownej trafiły.

- Trafiły - odpowiedział pies zwyczajny, w mundurze zwyczajnym, szarym nie tajniackim - ale kwitu nie ma, to i obrazu nie ma. Stałem tak przy kontuarze posterunku siódmego dzielnicy śródmieście, przed sobą mając obojętność, czy wręcz tradycyjne zmęczenie petentem.

Miałem już odejść, odmownie odprawiony.

- Posterunkowy wpuść tego - usłyszałem za pleców mundurowego głos nie znoszący sprzeciwu.

- Tak jest - stuknęły obcas policyjanta niższej rangi, drzwi kontuaru otwierając z niechęcią - za mną.

Poszedłem szpalerem biur, niektórych zajętych zarobionymi twarzami, niektórych znudzonych tępo patrzącymi w stosy papierów piętrzących się przed nimi. Na końcu drogi, za biurkiem siedział wielki mężczyzna, w garniturze tajniaka, podniósł szpakowatą fizjonomię, blade niebieskie oczy pod krzaczastymi brwiami

- Ten spocznie - odezwały się wąskie usta.

Posterunkowy odsunął krzesło, stuknął obcasami, odmaszerował.

- De Cades, jak mniemam? - zapytały usta prawie się nie otwierając, od których hipnotycznie nie mogłem oderwać spojrzenia.

- Tak - odpowiedziałem zaskoczony.

Palce jego zaczęły wybijać powolny jednostajny rytm o powierzchnię biurka czarnego, podczas gdy oczy bladoniebieskie lustrowały mnie czujnie. Długo, długo, bez mrugnięcia.

- Po obraz?

- Portret ojca.

- Portret trumienny, znaleziony w mieszkaniu denatki Alony Iwanownej

- No, taki zwykły portret, ojca.

Spojrzał w papiery na biurku.

- Portret trumienny ojca - przeczytał z kartki - własność D.de.Cades, to ten tu jest D.de.Cades, tak czy nie?

- Ja - odparłem z nadzieją na odzyskanie, ale i z jakimś zmieszaniem, zakręceniem w głowie, że coś przecież nie tak.

- Więc to portret trumienny ojca, a tego morda – przyjrzał mi się uważnie

- nawet podobna, a ja pamięć do ludzi mam.

- Czy Pan komisarz byłby łaskaw mi ten portret pokazać - niepewnie, jakże niepewnie brzmiał mój głos

- Nie byłbym łaskaw, bo go już nie posiadamy. Został wydany.

- Jak to wydany?

- Parę dni temu. Był tu niejaki doktor Tarr, miał kwit z podpisem odręcznym lichwiarki Iwanownej. Powiedział, że człowiek przyjdzie i będzie szukał odpowiedzi, wypytywał, a ja nie lubię takich co pytają.

- Tarr? - zapytałem głucho czując trzepotanie czarnych skrzydeł pod skroniami, nie bacząc na ostatnie słowa tajniaka.

- Tarr. Mówię - i spojrzał wąskimi bladoniebieskimi oczami.

- Rozumiem - powiedziałem, raczej szeptem i do siebie myśląc usilnie - choć przecież ..., wypuścili mnie, więc po co? Co jeszcze ode mnie? Po co tam im moja przeszłość nie jasna.

- Coś ten mówi do mnie?

- Nie, skądże Panie komisarzu. Pan komisarz wybaczy, że czas, czas zajmowałem.

Wstałem nisko się kłaniając, odprowadzony przez posterunkowego, powietrza łyk za drzwiami komisariatu, co zgrzytem zamknęły się za mną, uchwyciłem zachłannie.

*nagle*

*niespodziewane ochłodzenie*

*sprawia że kryształki powietrza zamarzają wokół ust*

*a oblodzone kable telegrafu nie stanowią rozmów już*

Wyszedłem przed i nie było słońca już. Wąwóz kamienic zapełnił się lodowatą ciemnością. Powietrze, które jeszcze tak zachłannie przed chwilą nabrałem w płuca, resublimowało do postaci kryształków wokół sinych ust. Ludzie powychodzili przed domy, z których ostatnim tchnieniem ciemny dym i żale, podświadomie zlepiając się w małe obłoki drgającego w milczeniu mięsa. Opakowani w kaftany bezpieczeństwa, zużyte buty marzeń i rękawiczki złego dotyku. Cisza jakaś zapadła gęsta i nawet trzeszczenie oblodzonych kabli telegrafu nad głowami nie stanowiło dźwięku. Otuliłem się sztywnym od lodu płaszczem. Blade gazowe światło ulicznych lamp z trudem przedzierało się tworząc coraz mniejsze enklawy nadziei wokół niknącego w mroku żółtego blasku gazowych latarni. Krok jaki zrobiłem z trudem rozległ się trzaskiem zmrożonego śniegu w mojej głowie, bo do uszu dobiegła tylko cisza, tego byłem bardziej niż pewny. Drugi i trzeci krok pozostawiły szybko niknące pod płatkami śniegu ślady. Uwolniłem się od chłodu ściany.

*Na mojej ulicy*

*Gra chłód kamienicy*

*Chłód wciąż mniej żywych tkanek...<sup>34</sup>*

Czwarty, piąty i szósty krok zaprowadziły mnie po omacku na środek ulicy, gdzie ledwo zdążyłem uniknąć potrącenia przez toczącą się w milczeniu po bruku czarną wołgę. Przez oszronione szyby nie dostrzegłem kierowcy a pasażer na tylnym siedzeniu patrzył błagalnie w gasnący płomień zapalki, trzymany w modlących się dłoniach. Mijając mnie, uśmiechnął się blado nim jego ubranie zajęło się niebiesko zielonym płomieniem. Topiąca się miedź z przewodów telegraficznych, tyle po nim zostało, popiół bezwietrzny i żadnych słów, a może jeszcze z kimś zdążył zamienić choć jedno słowo, a może jednak porozmawiać, wyjaśnić, obiecać jutro nim ... pomyślałem nim wykonałem siódmy i ósmy krok. Czarna wołga przetoczyła się za moimi plecami w dół ulicy, nie patrzyłem za nią, wystarczyło, jak poczułem jej zderzenie ze ścianą narożnej kamienicy, takie głuche, bez wyrazu, gdzie energia reakcji nie wyszła na zewnątrz, tylko w milczeniu zapadła się w sobie. Implozja bez znaczenia, wchłonęła całym swoim okrucieństwem i żalem chwili. Niektórzy obejrzeni się czując przez moment jakiś niepokój by po chwili wrócić do patrzenia w obojętność opadających szarych gwiazdek śniegu pokrytych

---

<sup>34</sup> Aya RL - „Ulica” (fragment)

sadzą niezliczonych kominów miasta. Dziewiąty krok, dziesiąty, a może czterdziesty piąty bez śladów, które tak szybko niknęły w śniegu, zaprowadził mnie pod ledwo widoczny szyld spelunki, do której czasami wpadałem urzędniczo wyjałowiony na prażoki ze skwarkami, czasami na zalewajkę na zakwasie. Wpadałem, jakże dawno to było temu. Wódki dwie wypijałem "zanim spuchła atmosfera". Nacisnąłem klamkę, drzwi ustąpiły z bólem, wszedłem zderzywszy się zlodowaciałą twarzą z falą gorąca zawieszoną jakby swą grzywą tuż nad wejściem.

- Drzwi - wrzasnął ktoś z półmroku.

Zamknąłem pospiesznie. Skierowałem się w stronę szynku, gdzie dwie lampy naftowe, niczym ostatnie latarnie na wzburzonym morzu, wabiły żeglarza z dalekiej podróży. Przeciskałem się przez ludzi stojących wokół wysokich stołów, nie było miejsc siedzących, a każdy stał, tak jak wszedł, w palcie, łachmanie cuchnącym wilgocią, mimo ciepła tu panującego. A może to ciepło tylko złudzeniem w chwili kontraście z pogodą na zewnątrz. Nikt nic nie mówił, wpatrzony niewidząco w kufel piwa, wódki kieliszek, wypity jednym haustem i znowu wpatrzony w kufel piwa, wódki kieliszek.

- Dwie wódki - zwróciłem się do starego barmana o twarzy zaoranej czasem - albo trzy od razu.

Nalał bez pytania trzy setki najpodlejszej, sądząc po zapachu żytniej, postawił w szeregu przede mną na małej ciemnodrewnianej tacy. Dorzucił do tego dwie pajdy suchego chleba.

- A coś na ciepło? - zapytałem łudząc się mglistym wspomnieniem dawnych czasów.

Przecząco pokręcił głową z rezygnacją, każdym ruchem starej twarzy i pustych oczu manifestując cierpienie powodowane upadkiem w terażniejszość. Uściłem opłatę za zestaw, przez ciemność i zaduch próbując dostrzec jakiegokolwiek wolne miejsce przy stoliku. W kącie samotnym, gdzie ostatni stolik, gdzie człowiek w palcie, nie zdjawszy nawet kapelusza, głowę oburącz podtrzymując filarami rękawów płaszcza. Podeszedłem. Głowy nie podniosłem, wzrokiem nieprzytomnie omiótłem, niedopitą szklankę wódki przesunąłem bliżej siebie. Czytając w tym milczącą zgodę rozłożyłem się naprzeciw. Pospiesznie wypilem dwie setki zagryzając pajdą chleba. Żar rozlał się we mnie. Chleb żułem. Milczeliśmy jak prawie tu wszyscy. Jak wszyscy tu prawie bez ruchu.

- *Wódki dwie wypiję, potem cicho się pozbieram;*

*Wyjdę na ulicę, przy fontannie zmoczę łeb;*

*Wyjdę na przestworza, przecudowny stworzę wiersz.*<sup>35</sup>

- Co Pan mówi? - zapytałem zaskoczony.

- *When the still sea conspires an armor*

*And her sullen and aborted*

*Currents breed tiny monsters*

*True sailing is dead*<sup>36</sup>

- Nie rozumiem, słabo znam mowę zamorską.

- *And heads bob up*

*Poise*

*Delicate*

*Pause*

*Consent*<sup>37</sup>

Jakimś napięciem wytworzonym, elektrycznością statyczną, objawioną w versorium Gilberta wieki temu, emanowały jego usta w twarzy objętej cieniem a oczami w resztkę sznapsu się unoszącymi, gdyż prawdziwa żegluga umarła. Tyle co zrozumiałem, z tej przemowy do mnie czy koło mnie kierowanej. Pięścią zaciśniętą resztki chleba gniotąc, czułem oblepienie i ciężar mokrego płaszcza na sobie. Czekałem. Wszystko, zaprawdę wszystko wydawało się nierealne, nawet nadrealne. Ostatni kieliszek, dłoń po setkę wyciągnąłem, on swoją na mojej położył niespodziewanie. Przytrzymał twardo, żylastą plątaniną dróg. Spojrzałem na niego, choć bardziej w cień jego, gdyż wyrazu twarzy, nawet samej twarzy nie widziałem. Jakoś nieświadomie odgadłem, wyciągnąłem swoją dłoń spod jego milczenia dłoni, przez wilgoć płaszczy, prochowców zawieszonych na przygarbionych wieszakach okupujących stoliki swoją ciszą, przedarłem się do baru. Stary barman nie zapytał, ja nie powiedziałem, nalał dwie szklanki do połowy głębokości. Mój towarzysz przy stole, stał tam nadal, rękę cały czas trzymając tam, gdzie jeszcze chwilę temu moja była. Postawiłem szklanki, dopiero wtedy podniósł, a raczej przez klejący brud blatu, przesunął dłoń ku, podniósł do ust wypił dwa głębokie łyki, jakby to była woda najzwyklejsza. Ja też wypilem, krzywiąc twarz.

- *Milczę dosłownie*

*między wódki wierszami*

*bez śpiewu ptaków*

---

<sup>35</sup> Edward Stachura – „Życie to nie teatr” (fragment)

<sup>36</sup> Jim Morrison/The Doors – „Horse Latitudes” (fragment)

<sup>37</sup> Jim Morrison/The Doors – „Horse Latitudes” (fragment)

*rozstrzelanych na drutach kolczastych myśli  
murem wyrastam wokół kroków po pustym obwodzie  
z uporem pijaka nielota  
palcami jeszcze orzę ją w odmianach  
bez nadziei łudzających przypadków  
gdzie zapomnienia cień*

Przemówił głosem zmęczonym, oparami żytniej słowa przesiąknął, aż skropliły się opadając deszczem i potem na jego czole, na moim czole poczułem.

- *I'm a melancholy man, that's what I am*<sup>38</sup> - dodał, a ja jakbym usłyszał śmiech świszający, nerwowy, do siebie, szydący z samego siebie.

- Czy my się znamy? - zapytałem, choć nie wiedzieć czemu to pytanie zadałem.

- A jakie to ma znaczenie? - znów przechylił szklankę do ust, przełknął i ja przechyliłem, odstawił i ja odstawiłem - znamy, nie znamy, czasami znamy.

I znów staliśmy naprzeciw oparci stołem, w milczeniu okrągłym stołem dzieleni.

- Czy może był pan w Maison de Sante? - zaryzykowałem pytanie nurtem w mej głowie płynące.

- Każdy był i nikogo nie ma, a każdy jest - odpowiedział.

- Wie pan, było tam takie miejsce, sala zaciemniona kotarami, pokój zagadek. Myślę, że tam też nikt nie wiedział kim jest i kim się stanie, każdy był tam i nigdzie. Przeszłość była przyszłością, a terażniejszość nie istniejąc śmiała się z nas.

- Tak myślisz? - jakby się uśmiechnął. - Czy cokolwiek się teraz zmieniło?

- uniósł na mnie oczy, a ja zobaczyłem w nich siebie. - Nic, absolutnie nic, prawda?

Zamyśliłem się patrząc w dno szklanki i jeszcze bardziej siebie. On zrobił to samo. Dwa płaszcze zgarbione nad żytnim fermentacji zapachem unoszącym się tu wszędzie. Czuję smak gorący we wnętrzościach i zimny pot na plecach. Czuję smród miejsca i niejasność mroku oblepiającego myśli. Obmacałem kieszeń wewnętrzną, wyciągnąłem z niej zmiętą paczkę papierosów, dwa jeszcze zostały w środku, wysunąłem jednego, drugi już palił się w ustach nieznanego. Spojrzałem na puste opakowanie. Podsunął mi żar. Odpaliłem. Kolejne ciepło rozlało się po dziurawych płucach. Więc znów staliśmy

---

<sup>38</sup> The Moody Blues - "Melancholy man"

naprzeciwko, widmo przeszłości, przyszłości, teraźniejszości zawieszanej.

*A jeżeli czas się skończy  
nagle  
zostaniemy w półgęście bezdomnych dłoni  
w pół oddechu wciągniemy jeszcze półsłowa ulotne  
szukając w ćwierćtonach odległej miłości  
półkroku do siebie zastygnie w półcieniu  
słodką współwinę szepcząc po kryjomu  
i będziemy tak trwali półśpiący półżywi  
czekając nastania naszej godziny*

Dodał, zaciągając się. Chwile siedzieliśmy patrząc sobie w oczy. Tak prosto, bez mrugnięcia. Twarz w twarz tą samą. Jak jedynie mężczyźni mogą tak sobie patrzeć w oczy, jedynie nad wódką, jedynie w nikotyny towarzystwie. Pełni miłości i rozpaczy, przeszło przeze mnie, a jego oczy mówiły tak wiele, choć nie rozumiałem wtedy znaczenia tak wielu słów. - Jestem już stary, zmęczony sobą, lecz ... - zaczął, zaciągnął się papierosem, moim dymem, by kontynuować po chwili...

*Codziennie  
maluję jej portret  
nieudolnie  
starczymi dłońmi  
na palecie  
mieszając sny z wątpliwościami  
bez oczu patrzenia  
tylko usta cieplejsze  
niż rozcięty chłód pustych ramion  
szepczą z daleka  
Paryż do Moskwy  
bez odbioru  
i lecą żurawie niebem wspólnym  
potem biorę niedokończony obraz  
rozwieszam jak ogłoszenie  
na przydrożnym drzewie  
wśród wietrznych gałęzi  
gdzie tylko szum  
a ona w zagubieniu  
a ona w białej bluzce czarną ziemią*

*i znów lecą żurawie  
i znów maluję jej portret*

Zasłuchałem się w słowa, tę poezję zawieszoną w przyszłości, przeszłości, teraźniejszością, dzisiaj oddychającą charczeniem starego serca, serca w zagubieniu. Próbowałem ogarnąć znaczenia zdań, obrazy splątane niepokojem, a krzykiem niemym na mnie, we mnie. Jego, a jakby moje.

- Rozumiesz? - chwycił moją dłoń, złapałem swoją dłoń, prawą lewą do stołu przygniotłem w uścisku, tym skurczu serca, gdy trzeba uwierzyć na słowo tak nagle.

- Rozumiesz? - powtórzył, usta miałem spierzchnięte formułując pytanie.

- Rozumiesz? - wycharczał jeszcze raz.

Przełknąć siebie nie mogłem, stając w gardle. Oczy widziały, a ona w białej bluzce czarną ziemią i znów lecą żurawie i znów maluję jej portret ... i jeszcze ten obraz, ten portret jej tak ... bolesny sercem w rozpacz, głowa lekko pochylona, falą włosów długich spływających spod toczka zielonego, błękit jezior pod czarną woalką, gorset zielony i bukiet czerwonych róż szronem zmarznięty, w dłoni wytrwale jeszcze trzymany i coś szepcze, coś ...

*says  
while biting her lip  
Life is meant to be more than this  
and this is a bum trip<sup>39</sup>*

*It's so cold in Alaska<sup>40</sup>*

Odsunąłem się chwiejnie, jakby uderzony ciężarem niejasnym, dłoń z dłoni swojej wysunąłem, niepewnym krokiem potykając się o te pytania pod nogi rzucone, zastygłe lawą coraz zimniejszą, Pompeje martwe. Jeszcze raz pokonałem drogę do szynku, jeszcze raz stary człowiek za ladą klejącą, smutkiem spojrział mi w oczy, pokręcił głową, a jego pustka w spojrzeniu stała się moim udziałem. Machnął ręką, bym poczekał. Odwrócił się, przeszedł trzy kroki, szurając butami. Na półce stało stare lampowe radio Victoria, całe czarne od dymu papierosów, pewno dawniej mahoniowe, wielkie drewniane, jak pałac niebotyczny, głośnik, nad skalą odliczaną odległymi miastami, do których nigdy nie dotrę. Drżącą ręką,

---

39 Lou Reed - "Caroline says II" (fragment)

40 Lou Reed - "Caroline says II" (fragment)



pokrętem jednym z trzech, zmienił punkt na mapie świata, blado rozświetliła się nowa stacja, muzyką zagrała. Z powrotem trzy kroki, do mnie wrócił.

- Przestało padać - rzekł tylko i dwie setki nalał.

Wróciłem, wypatrując ścieżki w trzaskach drewnianej podłogi, potrącając płaszcze garbate przy stolikach, choć ... płaszcze, gdzie te płaszcze co tak tłumne były ... stanąłem przy swoim stoliku, szklanki ustawiłem w szeregu, by równo maszerowały na dwa, miałem właśnie przesunąć jedną ku memu rozmówcy, lecz nie było go. Rozejrzałem się niejasnym spojrzeniem, odmętem jakimś poruszonym. Bezradnie, niczym mgłą ogarnięty. Dwie szklanki, niczym ster, portem dalekim. Morze szumi mną, faluje białymi grzywami.

Wtedy usłyszałem w prawie pustej sali, w czarnym głośniku radia:

- Dobry wieczór - powiedział głos ... przerwał na chwilę, zaczerpnął palącego powietrza - popiół zamiast stron, palce opadają, dotykają, moje oczy i krew .... ciche dźwięki czarno białych klawiszy.

*Hinter dieser Tür  
Steht ein Klavier  
Die Tasten sind staubig  
Die Saiten sind verstimmt<sup>41</sup>*

- Jestem jak ten fortepian - kontynuował - nie potrafię wyrazić słowami, wykreśliłem litery, pozostały wielokropki rozstrojonych strun. Wydaje mi się, pamiętam obrazy w Maison de Sante, gdy wiatr rozwiązywał krępujące rękawy, gdy wiatr otwierał zamknięte na zawsze okna, gdy wiatr ...

Moja dłoń zacisnęła się na szklance, szklanka pękła, szkło wgryzło się w skórę czerwienią krwi, wódka paliła, nie czułem, nie czułem tego, lecz znów słyszałem:

*Dort am Klavier  
Lauschte ich ihr  
Und wenn ihr Spiel begann*

---

<sup>41</sup> Rammstein - Klavier (fragment)

*Hielt ich den Atem an*<sup>42</sup>

- Biegłem niekończącymi się korytarzami ślepo grając z przeznaczeniem, chwyciłem drganie każdej niewypowiedzianej na głos nuty ... - mówił głos w radio a ja słuchałem, a krew skapywała na brudną podłogę.

*Ich goss ihr Blut  
Ins Feuer meiner Wut  
Ich verschloss die Tür  
Man fragte nach ihr*<sup>43</sup>

- Wszyscy, lekarze i konstruktorzy rzeczywistości pytali co mi jest, a ja nie mogłem wyjaśnić, może brakowało mi słów, lecz oni wiedzieli już lepiej rozpisując role. Wyważyli drzwi ... - ciągnął dalej przechodząc płynnie z niemieckiego na ten dziwny dialekt mieszkańców Maison de Sante.

*Geöffnet ist die Tür  
Ei wie sie schreien  
Ich höre die Mutter flehen  
Der Vater schlägt auf mich ein*<sup>44</sup>  
*Wypisali recepty zapomnienia.*

Ten głos, ten głos, czy mogłem się mylić, czy mogłem zapomnieć. Ten głos, tak bardzo we mnie żyjący całym sobą. Oczami chłonałem każde słowo w radio, chłonałem nie mogąc się ruszyć, powietrze stało w gardle, palce drętwiały oblane koszmarną poświatą elektrowstrząsów, palto nasiąkło czarno – białymi klawiszami pamięci, niepamięci, czegoś ... Słyszałem siebie, widziałem siebie, widziałem matkę przesuwającą koraliki różańca swojego szaleństwa w ciągnących się w nieskończoność korytarzach Maison de Sante, widziałem ojca dźwigającego swój trumienny portret, widziałem okno trójdzielne przeciwległe mojemu oknu i tam, tamta dłoń, tamta twarz wyrysowana sobą, sobą pisana, słońcem pisana. Czarny fortepian i ona słońcem wołająca moje imię.

*Man löst sie vom Klavier  
Und niemand glaubt mir hier  
Das ich tod krank*

---

<sup>42</sup> Rammstein - Klavier (fragment)

<sup>43</sup> Rammstein - Klavier (fragment)

<sup>44</sup> Rammstein - Klavier (fragment)

*Von Kummer und Gestank*<sup>45</sup>

Lecz ja wiem, nawet teraz, gdy siedzę sam przed mikrofonem, gdy noc jest ciemniejsza niż zwykle, że wciąż są dźwięki zagubione na wietrze ...

*Dort am Klavier  
Lauschte ich ihr  
Und wenn ihr Spiel begann  
Hielt ich den Atem an*<sup>46</sup>  
*Dort am Klavier  
Lauschte sie mir  
Und als mein Spiel begann  
Hielt sie den Atem an*<sup>47</sup>

- Przesuń się pan - dotarło do mnie po butach moich ściera przeciągnięte bez pardonu głosem skrzeczącym staruchy bezzębnej.

Odsunąłem stopy, siebie od stolika chwiejnie ręką się jeszcze krawędzi trzymając, podczas gdy ściera brud podłogi rozmazywała wokół.

- Słyszał, zamykamy - zaskrzeczały usta cuchnące mogił szeregiem.

Spojrzałem w pośpiechu na szereg dwóch szklanek jeszcze stojących na stole, szybko jedną za drugą, wypilem, krzykiem wstrętu twarz wykrzywiając. W głowie ponownie zaszumiało fortepianu dźwiękami w radio usłyszanymi i tymi słowami piosenki tak we mnie wgryzionymi, jakby moimi, we mnie pasującymi.

Poganiany zrządzeniem za sobą, przekleństwem wijącym, przez pustą salę, przez opuszczone stoliki, palto ciężkie niosąc na plecach, do drzwi wyjściowych. Lecz jeszcze, już niemalże na progu stając usłyszałem głos staruchy za sobą, rękę kościstą na moim ramieniu położyła. Poczulem jej brud paznokci wbijany we mnie.

- A wczorajszy dzień w malunku przybitym, gwoździem zardzewiałym w ścianę, pajęczyną zostawić, zapomnieć, nie myśleć ... Z portretem trumiennym się pogodzić, bo i tak we krwi on płynie i strachami swymi obdziela. A co lichwiarce Alonie Iwanownej na zabezpieczenie długu dane, długiem do końca się staje.

- A ... - chwyciła moją twarz za podbródek, oczy swoje wierciła we mnie  
- a doktorów wszelakich co w księgach twarze mają, wystrzegaj się. Oni

---

<sup>45</sup> Rammstein - Klavier (fragment)

<sup>46</sup> Rammstein - Klavier (fragment)

<sup>47</sup> Rammstein - Klavier (fragment)

... oni niejedyn dom Usherów do zagłady prowadzą tańcem chochołów pijani.

- Wystrzegaj się! - syknęła jeszcze.

Dłoń jej zsunęła się ze mnie, ręka odpadła, szurając cieniem za sobą, jakby w wyczerpaniu wielkim odeszła do ściery na kiju na środku tancbudy z diabłem pozostawionej. Krokiem niepewnym, zachwianym tym wszystkim, w kierunku na zewnątrz, poza framugę drzwi, ruszyłem.

Niebo pochmurnie znaczyło kroki moje bez celu. Ściany kamienic podporą były dla dłoni, bramy pustą przestrzenią ziejącą dusząco moczem i kapustą gotowaną w piwnicach czynszowych kwater. Wąwozem ulicy brukowanych, na przystanek tramwaju, cuchnąc niestrainnością nadmiaru żytniej w sobie i na sobie, zataczając się, dzieci do rzucania kamieniami i psy do warknięć mimowolnie zachęcając, dotarłem wreszcie.

Zgrzyt drugiego wagonu o szyny, wagonu klasy najpodlejszej, trzymając mnie wytartą rączką gumową za zaciśniętą pięść, zawiózł Cmentarną do Ogrodowej, gdzie krańcówka dla żywych i martwych, jak mówili na mieście. Wysiadłem przy głównej bramie łukiem się wznoszącej, tak cudnie zdobionej Chrystusem kamiennym na zwieńczeniu. W twarz mu, nade mną zawisłej, spojrzałem, jak zawsze smutną pustkę, jak zawsze poczułem. Palce zacisnąłem na żeliwnych prętach patrząc przez nie w aleje otoczoną starymi dębami, na których resztki pożegnania jesieni jakoś nieroztropnie wirowały przede mną. Znałem tę bramę, znałem mur, alei pajęczynę z czasów odległych spacerów w pamięci zatopionych niewinnością dzieciństwa. Jedyne ciepłe chwile spędzone w tym mieście, gdy jako podrzutek szedłem, bez względu na porę roku, lecz zawsze w samo południe, trzymając starczą dłoń babuszki, jak ją nazywałem w snach, wąskimi ścieżkami wśród grobów. Te małe, zapomniane, często tylko przekrzywiony krzyż wbity w żółty piach, gdzieś na obrzeżach cmentarza. Szliśmy też głównymi alejami, gdzie kamienne anioły, gdzie kolumny akantem pamięci w zapomnieniu toczone, gdzie strzeliste wieże i krzyże bezradne do nieba. Obchodziliśmy Scheiblera, dwa, trzy razy, Pana fabrycznego, nisko się kłaniając, bo tak trzeba mawiała i trzy zdrowaśki dodawała od siebie, podczas gdy ja karmiłem swoje dziecięce oczy tą potęgą mroku, tym romantyzmem gotyku, którego istnienie mogłem tylko przeczuwać bez żadnej świadomości przeciw dziecięcego rozumowania. Dalej szliśmy do pięknej Sophie i jej dwójki dzieci, w aniele zamkniętej, tu babuszka opowiadała mi za każdym razem tę samą historię tragiczną Pana Bidermanna i jego pięknej żony. Patrzyłem wtedy długo w twarz Pani Sophie, twarz anioła. Wszystko to było takie odległe od

dzisiejszych moich niepewnych, zagubionych samych sobą kroków pod ciężkimi chmurami, pod znów padającym deszczem. Szaleństwa jakiegoś wsiąkającego zimnem w pustkę siebie pod płaszczem ukrytą. Przystanąłem na środku alei, żeby w przestrzeni tej zamarłej się zorientować. Dawno, bardzo dawno tu nie byłem. Wszak pewno od śmierci ojca. Tego, którego sprzedaż portretu trumiennego Alonie Iwanownej, taki ciąg zdarzeń przedziwnych i pewno zgubnych uruchomiła. Tak, zgubnych ...

Czym była ta sprzedaż, w depozyt na nigdy oddanie? Czy mogła to być jakaś zamaskowana, ukryta skrzętnie chęć wymazania z pamięci tej niepokodzonej we mnie przeszłości, buntem w zrywie jakimś czy też potrzebą naprawienia czegoś? Może winy ojca za spalenie jej jakże innego, zamkniętego w niej, życia. Może winy, z którą żył do końca, nigdy sobie nie wybacząc i nigdy mi nie wybacząc, że patrzyłem na niego poległego w okowach coraz większego niebytu. A może ten handel pokątny był jakimś zakonspirowanym podszeptem siły, która we, do mnie sączyła swe prawa od tak dawna? Może to było nawoływaniem matki, delikatnym tuleniem po tylu latach, popiołem obrazów i ulotnych na wietrze wierszy, które we mnie żyły, które odnajdywałem tam w Maison de Sante i tu na ulicach miasta. A może wreszcie tą zgubioną i znalezioną i ponownie zgubioną i może jutro znalezioną, tak obecną w słowach Edgara, w milczeniu Iana, w zapatrzonych oczach, w krokach, głosach błędzących, w krukach frunących.

Przystanąłem nagle, trzeźwiejąc myślą ostatnią, co tak niespodziewanie w tym miejscu i czasie we mnie powstała, jakby podszeptem umiejscowiona w ciągu moich rozmyślań wciąż jeszcze alkoholicznie niespójnych.

*W fabrycznym mieście  
przy ulicy cmentarnej dwa  
w zabłoconych butach pełnych pretensji i złudzeń  
rozmawiam z twoim milczeniem*

*żeliwne pręty z zaciśniętymi tysiącami dłoni  
brama donikąd  
dzieląca  
pozornie żywych od pozornie martwych  
próbujących  
pod stalowymi chmurami  
w maskach bólu*

*jeszcze okłamać czas  
sprzedając portrety trumienne  
oraz zdjęcia w albumie rodzinnym*

Stałem, napływając na siebie niezdecydowaniem, krok do przodu, dwa do tyłu. Znów drzewem pobliskim się oparłem, korą przywarłem do dłoni, bezlistne gałęzie powykrzywiane zabołały nade mną. Niebo szare, ciężarem a pod butami liście w błocie. Niebo szare, ciężarem a kruki w wokół zasiadłe. Zawyło wiatrem, znów deszcz chłodem. Wezbrała we mnie fala jakaś, do gardła podeszła, zakręcając światem, którego oczy straciły równowagę. Nie wiedzieć kiedy, jak, słaniając się, powietrznych zwidów się czepiając, dotarłem do metalowych prętów ogrodzenia, otaczającego grób marmurowy. Dotknąłem dłonią kielichów kwiatnych kowalskim mistrzostwem się wijących, obrosłych tak milcząco płot. Przesunąłem palcami po zaklętych makach, szumiących trawach, twardości żelaza utlenionej smutkiem. Zapadłem się w siebie, szukając zawodzenia wiatru, jak zawsze w takiej chwili.

*Żeliwnym makiem  
żeliwną trawą  
winy grona  
kute we mnie  
na Ogrodowej pod numerem 2  
mam ścieżkę  
butwiejący krzyż  
zapisany kamień  
ach jesień  
liście spadły  
i kroki twoje  
już śniegiem  
nie zauważyłem*

Drżącą ręką rozchyliłem furtkę, zgrzytem w ciszę godzącym, do środka wszedłem w uśpiony chłodem bluszcz. Tu z bloków marmurowych czworobok, prosty, surowy, jak człowiek w nim, metr na dwa o chropowatej fakturze. Dłutem rozdrapywanym, młotem miazdżonym, jak wzajemne odczuwania pomiędzy tym tam, a ... przecież przyszedłem... Z reliefem na wysokości oczu. Krok zrobiłem, drugi, wyciągniętą dłonią pnącze oberwałem i drugie też, co płaskorzeźbę obrosło tą odrobiną zapomnianego dawno lata. Spojrzałem, choć zmrok

już wczesny napłynął, w ten portret kamienny, ten ... portret trumienny, co przez pory roku i dni przemijające bez życia dźwigałem. Ten portret ... co lichwiarce sprzedałem. Cofnąłem się, przypatrzyłem, snując się po tych rysach twarzy, tak łudząc się, że we mnie obumarłej. Lecz w myślach, z myśli ukrytych, przed światłem przemknął mi mój własny szept ustami niemo wypowiedziany:

- Pozwoliłem, aby bluszcz pokrył liśćmi twoje ramiona, tak jak milczenie pokrywało nasze rozmowy. Zakopał dodatkowo w ciszy i zapomnieniu. Wiesz, że zawsze chciałem porozmawiać, stanąć przed tobą bez czekania na kolejny bezosobowy rozkaz? Powiedzieć jak bardzo się duszę próbując chodzić w twoich butach. Spójrz teraz, spróbuj stanąć po drugiej stronie, spróbuj chodzić w moich butach, trupięgach twoich!

*You'll stumble in my footsteps  
Keep the same appointments I kept  
If you try walking in my shoes  
Try walking in my shoes  
If you try walking in my shoes  
Try walking in my shoes<sup>48</sup>*

Zazgrzytało we mnie wyrzutem rdzy mojej odmierzanej latami utleniania się tego czym miałem być.

- Na obraz i podobieństwo moje - mówił dłutem krawędzie duszy mej obrabiając wytrwale.

Przysiadłem na kamiennej ławce stojącej z boku, odgarniając zeschnięte liście, oparłem się plecami o metalowe pręty ogrodzenia, metalowe łodygi kwiatów, maków krwiście czerwonych wypalonych w słońcu. Ścieżką przeszły trzy zgarbione do ziemi, do błota co życiem, twarze Bruegla, w czarnych chustach śmierdzące tańczącą na chudych nogach wokół śmiercią, w sztywniejących, powyginanych palcach przesuwając koraliki dni przemijających w długiej kolejce winy i kary???

- Więc ten trumienny portret ... - usłyszałem usta swoje.

Kruk zakrakał złowroźnie, wzbił się, koło zatoczył nie mówiąc już nic więcej. Oczy z nieba przestrzeni opuściłem na relief, gdzie dłutem w metalu literalnie epitafium i daty graniczne, litery gotyckie, czy same siebie, czy ja sam je ułożyłem, czy ja sam się doszukałem w nich czterech słów ułożonych w zawilość moją jakąś: Profesor Fether, Doktor Tarr. Wypętlę z ciemności stanęły przed wzrokiem umysłu. Cofnąłem

---

<sup>48</sup> Depeche Mode - Try walking in my shoes (fragment)

spojrzenie, by nie widzieć. Jeszcze raz spojrziałem by dostrzec. Napis wyryty, epitafium to samo, wszak obraz ten sam co onegdaj pierwszego dnia w Maison de Sante ujrzałem. Tam czekając w półmroku na rozmowę z doktorem, błądząc po hallu, co rusz, niezależnie jaką ścieżką szedłem, mijając wielką ususzoną paproć, w bocznym korytarzu, nawie, wnęce, czymkolwiek, na tę samą przecież tablicę trafiłem. Więc teraz? Co teraz? Czy to zwid przeszłości? Czy to alkoholiczna sugestia odrętwiałego z zimna umysłu? A może nadal, wciąż działanie hipnozy, tak na mnie tam bez pardonu eksperymentowanej na kolejnych stronach księgi twarzy? A jeżeli jakiś związek, sznur wijący wokół szyi, pomiędzy nimi a nim, nim w tym portrecie pośmiertnym, obrazie trumiennym zamkniętym, a przez mój życie na plecach dźwiganym, by w końcu w jakimś akcie desperackim lichwiarce Iwanownej sprzedanym w depozyt, by uwolnić, by krzykiem tym przerwać ciężkie milczenie, by z kolein losu zapisanego poleceniem, pracą mrówczą, urzędniczą, beznadziejną się wyrwać i nagle, i teraz tu na cmentarzu przy ulicy Ogrodowej pod numerem drugim, przed grobem, się okazać może, musi, że nie ma ucieczki, że żarna kamienne dalej miażdżą nie wykiełkowane ziarna, że obracają i obracają się bezwzględnie i mielą, mielą mnie zachłannie. Głowę, ręce, serce. Więc może to po to, ta droga, to szukanie, pytanie o portret trumienny, by tu trafić, by pojąć niepojęte. Ale przecież słońce, ten promyk nadziei, słońce czy tu mnie prowadziłaś?! Na tę równinę grobową, na ten deszcz lodowaty i wiatr martwo wiejący. Pod chmury stalowe, pod gałęzie ku niebu palcami zgrabiałymi krzyczące, pod błoto, ziemię wilgotną, na której na kolanach, w której palcami, szponami grudy zwątpienia rozgarniam, pod paznokciami, w ustach przekleństwa bezsilne. A czy tam w Maison de Sante, czym byłaś, kim byłaś? Drogowskazem, wszak za tobą szedłem, nieznanym wszak ciebie szukałem, złudzeniem wszak z tobą błądziłem. A teraz?! A tutaj?!

Krążyły, krążyły nade mną, ich skrzydła wygięte, trzepotały, płonęły szkarłatnie, ich oczy czarne, ich dzioby rozszarpujące. I w mojej głowie wirowanie dychawicznego szeptu nałogowego palacza z palcami przesiąkniętymi tytoniem i flegmą, co oskarżenia żółcią, na mnie, we mnie, po mnie, po twarzy dziecka, w kącie ciemnym, krzesło drewniane, godziny, i ten jego syk zamierający:

*Kto z was kopie mój grób?*

*głęboki na dwa metry -  
jak bym miał powstać gdy padnę*



wąski na metr  
by nie rozpieęła mnie radość wschodów słońca  
długi - długi nie jest miarą opisującą mój obłęd gdyż on trwa od zawsze

Czy to ty tniesz deski na moją trumnę ?

piły fałszywych uśmiechów obracają się więc niestrudzenie  
wyheblowane uczucia dopasowują się idealnie do aktualnych norm  
farba z masek skapuje w tęczowe kałuże iluzji

Kto z was?  
Czy to ty?

Podjezrewam każdego kto odbija się w lustrze gdy na nie patrzę.

Rękami zakryłem głowę, przycisnąłem uszy, oczy zamknąłem. Lecz ten  
szepet złośliwy, ten szepet wymowny pełen norm i wytycznych nie do  
przejścia, ten szepet oskarżający każdym słowem a nawet jego brakiem.

Leżąc w płytkim grobie  
nie czuję się komfortowo  
kruki kraczą  
wrony wronią  
kwiaty mają zbyt słodki zapach

stoicie wokół  
w czerń przystrojeni  
z twarzami pełnymi bólu i łez  
rozmawiacie cicho  
myśląc, że nie słyszę  
ubraliście mnie w stary ślubny garnitur  
na nogi założyliście plastikowe trupięgi  
dwa numery za małe  
wstrzyknęliście formalinę  
upudrowaliście nos

i ja  
i ja mam tam iść  
i stanąć przed  
powiadam wam  
nie czuję się komfortowo

*no nie czuję.*

Nie wiem jak długo leżałem u stóp grobu ojca mego, martwym kamieniem jak i on się stając. Zgnile mchem od zachodu porastając, od wschodu piachem była ziemia.

Czy już zaświtało, czy słońce niebo podpaliło?

*Pójdę krokami błędząc  
w zimne pnie brzóz  
palce bezlistnych gałęzi  
zacisną pięść bezradną  
przed świtem  
szron ustami zaniemówi  
przed świtem*

Wzięli mnie pod ramiona, nie lekkiego, nie pogodzonego, nierozmówionego z tamtym pod ziemią dwa metry, co zabitym gwoździami, tamtym w tych jego wyglancowanych trupięgach na moich nogach. Ciężarem zwiotczenia objęli mnie kamienie drogi błotnistej. Głową zamiatali bruk. Śliną epilepsji serca mając coś, bramę cmentarną nad sobą minąłem tam, gdzie u zwińczenia, na kamiennym szczycie łuku triumfalnego martwy Chrystus stał.

*Zapytałeś dokąd iść  
Frasobliwą minę miał<sup>49</sup>*

Zmęczeni tragarze mego losu, wódką najtańszą, bimbrem pokątnym upojeni, puścili me ramiona, twarzą w błoto, ten ludzki bruk zmieniający swoje oblicze w zależności od potrzeby i korzyści twarzą właściciela.

*Przystanąłeś więc  
Z płaczem brzóz sprzymierzyć się<sup>50</sup>*

Odwrócili na plecy, bym spojrzeniem mógł uchwycić jakieś słowa, ni to drwiny całunem, ni namaszczenia ostatecznego olejkiem wylewane,

---

<sup>49</sup> Ryszard Rynkowski - „Szczęśliwej drogi już czas” (fragment)

<sup>50</sup> Ryszard Rynkowski - „Szczęśliwej drogi już czas” (fragment)

układane płaskim kamieniem na moich malowanych en face oczach, by ożywić spojrzenie, w nim wszak odbijać się miało światło losu, który ...

*... w drogę pchnął  
I ukradkiem drwiąc się śmiał,  
Bo nadzieję dając Ci,  
Fałszywy klejnot dał.  
A Ty idąc w świat  
Patrzysz w klejnot ten co dnia  
Chociaż rozpacz już od lat  
Wyziera z jego dna (co dnia)<sup>51</sup>*

Ktoś kopnął w brzuch, ktoś w nerkę kamaszem podkutym, co tylko policmajster i grabarz życia mają prawo nosić.

- Za żywy na cmentarz, za martwy do żywych.

Śmiech nad sobą tępy usłyszałem. Rechotanie kompanów w grupie silnych.

- Oto herezja tych czasów rozumu. Widzę i zgadzam się, co słuszne, ale robię to, co niestosowne<sup>52</sup> - i znów śmiech pusty, głowę co ledwo osłoniłem przed butem.

- O najpiękniejsza, krasna ty i przekrasna, daj mi rzucić jakby to moje serce do twoich stóp i żebyś je podeptała. Jakbym tu miał róży kwiat, bym ci go dał. Gdyby teraz lał deszcz i ziemia była jakby szajsowata, posłałbym ci wszystek mój ciuch pod stopami, żeby ten brud i fekał nie tknął twoich nóżek<sup>53</sup> - klęcznikiem młodzian jaki siadł mi na głowie, jeszcze okiem dostrzegłem długie dziewczęce nogi nade mną okrakiem i jej w niebo wzięty pod Chrystusa figurą śmiech śliskim językiem poruszony.

- Najstodsze i najbardziej rozkoszne czynności też zawierają w sobie pewną dozę gwałtu - choćby akt miłosny.<sup>54</sup>

I znów śmiech nad sobą gardel usłyszałem, by zapaść się w ciemniejącą mgliście miłość tak ludzką.

Tramwaj czerwoną pętlę zatoczył na krańcówce cmentarnej. Zatrzymując się zgrzytem żelaznych kół, motorniczy w szarej liberii rozwarł drzwi,

---

<sup>51</sup> Ryszard Rynkowski - „Szczęśliwej drogi już czas” (fragment)

<sup>52</sup> Anthony Burgess – „Mechaniczna pomarańcza” (fragment)

<sup>53</sup> Anthony Burgess – „Mechaniczna pomarańcza” (fragment)

<sup>54</sup> Anthony Burgess – „Mechaniczna pomarańcza” (fragment)

jakby nigdy nie używane. Wsiadłem bólem siebie do pustego wagonu, choć zimno pustostanu siedzeń wprawiało moje ciało w drżenie nie możliwe do opanowania. Zająłem miejsce przy oknie. Pożółkłe, od starości i dymu miasta, szyby nadawały przygnębienia mijanym obrazom, jakże odległym od walczyka o tym cholernym mieście, który zapisany raz w głowie dziecka, teraz kołatał mi się podkładami gnijącego drewna. Z czołem opartym o chłód, objając głowę nierównością szyn, starając się zapomnieć zdarzenia cmentarne, próbowałem tylko dojechać, wrócić do domu, pokoju obskurnego w kamienicy. Może zasnąłem ciężko, na chwilę, nie śniąc nic, a może ..., gdy poczułem lekkie popukiwanie w ramię. Takie wręcz niezauważalne fizycznie, tylko opuszką palca wskazującego, ale w jakiś sposób ciepłem przedziwnym rozlewające się w mojej turkoczącej po szynach głowie. Usłyszałem nad sobą głos kobiety.

- To przystanek, na którym powinieneś wysiąść. Już dawno temu powinieneś wysiąść.

Otworzyłem oczy, za okno odruchowo spojrzałem. Prawda, dotarło do mnie, rozpoznając znajomą ulicę i ciąg fabrycznego muru z cegły czerwonej. Odwróciłem oczy, ku tej, co w porę mnie do rzeczywistości przywróciła. Lecz ona, już przeciskała się przez palta ciężkie do drzwi wyjściowych na przodzie wagonu. Dojrzałem tylko długie włosy falami spod toczka zielonego, dojrzałem błękit jezior pod czarną woalką, dojrzałem gorset zielony, suknię długą i bukiet oszronionych czerwonych róż w jednej ręce trzymany. Nie podobne to przecież w te zimowe dni, nie możliwe - pomyślałem, zielenią spłynąć mimo zmrożonych róż. Wysiadła, zerwałem się z miejsca drzwiami z tyłu wagonu w ostatniej chwili wyskoczyłem, wpadając na kogoś. Kogoś niemal przewracając. Przeprosiłem, rozejrzałem się wypatrując ponad głowami co rzeką płynącą w gęstwinie własnej były, lecz nigdzie, lecz nigdzie jej nie dostrzegłem.

*zimowo  
martwym będąc  
wkłęśle zasklepiony  
trwałem*

*wtedy  
podskórnice  
znak we mnie  
dziką różą*

*martwymi  
płatkami  
niespodziewanie  
przebudzając*

Jeszcze raz beznadziejną nadzieją rozejrzałem się. Dostrzegłem na krawędzi spojrzenia. Odwróciła się, chyba na mnie spojrzała, słów nie słysząc, słowa usłyszałem: *"It's so cold in Alaska"*.

Znikła w rzece ulicą płynącej.

Z ulicy w bramę skręciłem. Przechodząc obok zawsze otwartych drzwi dozorcówki, usłyszałem za sobą

- Alosza przyniesie Panu zaraz obiad.

- Dobrze, dziękuję - odpowiedziałem nie odwracając się, poręczą wysłużoną łapiąc równowagę.

- A portret trumienny ojca znalazł? - dotarło do mnie jeszcze pytanie, gdy już na półpiętrze stawiałem kroki. Nic przed tą babą się nie ukryje, pomyślałem z odrazą wspinając się dalej.

Odsunąwszy pusty talerz, rozłożyłem na stole zawartość swojego żalostnego majątku. Przeliczyłem ruble, niewiele ich zostało po potrąceniu doli dozorczyń i tego co wódką spłynęło. Przewróciłem kieszenie, wysypując jeszcze parę blaszanych kopiejek. Cud, że młodziki cmentarne jedynie sponiewieraniem duszy i ciała się zadowolili. Zeszyt, w wewnętrznej kieszeni palta zwinięty, przetrwał, ulgę poczułem, choć jednocześnie poczułem jakiś niespodziewany strach przed wejrzeniem w niego. Dlaczego? Wyciągając ołówek wypadła na podłogę kartka. Podniosłem, przeczytałem wizytówkę „Profesor Fether i Doktor Tarr; Konsultacje”. Na drugiej stronie widniał adres i numer telefonu. Trzymałem to coś w dłoni, to ponowne wkroczenie namacalne fizycznie, ten bilecik niczym kontakt do handlarza opium w chińskiej dzielnicy. Pamiętałem jak ten cały dyrektor banku anulował moje jak się okazało zbędne istnienie. Pamiętałem jak na odchodnym jeszcze dał mi to, jakby podkreślając moją niezdatność i miejsce przeznaczenia. Że to jakoby dostał z pismem urzędowym z Maison de Sante. Usiadłem na krześle ciężko. Patrzyłem tępo, obracając ten kartonik w palcach.

I wciąż obracając kartonik w palcach.

I wciąż obracając kartonik w palcach.

Fabryczny zegar zaznaczył piątą po południu, koniec kolejnej zmiany, rozległa się syrena parowa, robotnicy zaczęli wylewać się szarzyzną z otwieranych właśnie bram.

A ja wciąż obracałem kartonik w palcach.

Słońce na moment zachodząc oświetliło oczy moje, zmrużyłem odruchowo nie dostrzegając i nie znajdując żadnych wskazówek, powidoków, które jeszcze tak niedawno czułem stojąc w promieniach przeszywających na wskroś, choćby tu za murami, choćby tam w Maison de Sante. Odnotowałem tylko, że zimny deszcze, co tak wczoraj nurzał mnie w swoich pijackich koszmarach, musiał pewno przestać padać, skoro słońce. Może jutro przedrze się przez ściany otaczające, może ...

*Skóra  
naciągnięta ścianami  
co wznoszą się  
żelastwo i cegła  
muszą wystarczyć  
za wszystkie sny  
które jeszcze wczoraj  
miałem*

*teraz krzyczę  
jutro  
zastygnę  
zimny*

*pojutrze  
rozkruszę się  
znowu*

Dostrzegłem w okna powidoku, lecz już niesłonecznie, nie promieniście, litery i wyrazy, zapewnienia, być może złudne, odczytałem na głos, odczytałem wspak. Przyjąłem w sobie, w sobie, sobą nakreśliłem nie próbując jakiś osąd wyrobić tamtych zdarzeń w murach siebie zamkniętych.

*Mam nóż*

tępy  
obierki  
skrawki mnie  
wszystkimi przypadkami  
ja  
nawiedzające pokątnie  
zestrugane z kości  
połamanych  
w cień rzucone  
poniewierają sobą

Lecz ... ja wciąż obracałem kartonik w palcach.

Zmrok naszedł pełen odgłosów i zapachów zaściennych. Robotnicy wyszli z fabryk i wódkę pić zaczęli, jeść kapustę gotowaną z kartoflami na wodzie gotowanymi. Poczulem nozdrzami duszny i wilgotny ten świat. Poczulem lepkość na koszuli parną, choć chłód szparami okna wiewał się wieczorny.

A ja ... wciąż obracałem kartonik w palcach.

Nastała noc, cisza pozorna, bo fabryka po drugiej stronie ulicy nigdy nie śpi, wciąż mieli mięso ludzkie w maszynerii swej włókienniczej z bawełną ze stepów akermzańskich po torach kolei żelaznej przybyłą. Robotnicy uśpili wiecznie brudne dzieci, wychędożyli żony i kochanki swe, zasnęli twardym snem.

A ja ... siedziałem przy stole i wciąż obracałem kartonik w palcach.

Tak stwardnieć od środka, skorupę nieodczuwania, niepatrzenia. Pokazać, na ścianie napisać: twardość. Odstawić siebie od siebie. Pięścią uderzyć w słabości kości, pogruchotać pajęczynę rozpostartą wokół. Nie szukać uzależnionych twarz, uczuć targających duszą, iść, rozprawić się, spojrzeć w oczy Fethera, oczy Tarra, Profesor i Doktor, ha, wykrzyzczyć, wykrzyzczyć. To nałóg, to nałóg.

Nazajutrz wstałem z krzesła, plecy zgarbione zabolaty nocą długą. Prostując się, myśl przeszła mnie na wskroś czerwienią bólu fizycznego. Czy wraz z tym świtem, stałem się tabula rasa samego siebie? Bo cóż moja wiedza urzędniczo - nieprzydatna, bo cóż moje doświadczenie w stawianiu pieczętek urzędniczo - nieprzydatne, bo cóż moje przeżycia

z ostatniego okresu, te skomlenia w szaleństwie szukania, skoro nawet nie mam już rachuby czasu, a i kolejność przyczynowo - skutkowa w tych obrazach podsuwanych nieświadomej świadomości zatraciła się. A jeżeli dalej rozumując w ten poranek słoneczny, jeżeli dalej na białej kartce siebie pisząc na nowo, czyż nie możliwym było moje jakieś przenicowanie psychiatryczne ze wszystkich sfer zewnętrznych, rzeczywistości twardej, ale namacalnej i zatopieniu się w świecie ulotnym, w jakiejś księdze o tysiącu niekończących się stron, o tysiącu twarzy?

Czy człowiek chory może sobie uświadomić, że jest chory z taką przejrzystością rozumowania, klarownością otaczającego powietrza, oddechem zbyt równym i spokojnym?

*Przyszedł szarlatan - szuja,  
Obejrzał go, pobujał:  
- Dementia praecox.<sup>55</sup>*

Zaśmiałem się w sobie i w lustrze. Zimną wodą strąciłem z twarzy resztki wczorajszego dnia, choć i to było zbędne, w świetle przebudzenia. Obejrzałem siebie w lustrze, zarost świadek tego co było, ale w oczach dojrzałem wschód słońca za oknem, tej zwykłej olbrzymiej kuli, co ciepło daje nie domagając się nic w zamian. Nie mając wyboru założyłem to co miałem, palto, kapelusz odszukałem, buty z błota wyczyściłem. Wyszedłem z bramy, przystanąłem, powietrze głęboko wciągnąłem. Nawet ono dziś miało niespotykaną klarowność, może przywianą ostatnimi wiatrami. U piekarza na rogu długą angelkę kupiłem. Smak jak nigdy. Zapiłem mlekiem od baby ze wsi, co od kiedy pamiętam swój kosz z jajami i kankę z mlekiem rozstawiała w tym samym miejscu pobocza bezdrożnego. Piechotą doszedłem na Wodną, gdzie gmach łaźni miejskiej, tam pozostawiwszy ubranie do odświeżenia w pralni parowej, zanurzyłem się w kąpeli w jednej z dwudziestu wanien świeżo wyczyszczonych po poprzedniej grupie. Tego potrzebowałem. Dokonawszy tej swoistej ablucji ciała i ducha, zajrzałem jeszcze do golibrody tuż obok. Brzytwa przesunęła się po odsłoniętej szyi, zimna. Po tym wszystkim, w odnowionym ubraniu, ogolony, wypachniony wodą po goleniu, a jakże tego też sobie nie pożałowałem, stanąłem na skrzyżowaniu ulic, gdzie gazowe sygnalizatory świetlne regulowały ruch odbijając się słabym blaskiem w monolitach kamienic. Czarne wołgi, dorożki, chłopskie zaprzęgi z węglem, ludzie idący, stojący, nie

---

<sup>55</sup> Konstanty Ildefons Gałczyński - "Śmierć poety" (fragment)



rozmawiający ze sobą. Choć ktoś niespodziewanie obok powiedział: nadchodzi piękna wiosna. Poczulem zapach kawy, wiedeńskiej z dodatkiem czekolady, z bitą śmietaną i posypką z cynamonu. Zapach smakiem rozplýwał się z otwartych drzwi kawiarni „Ziemiańskiej”. Pod wpływem chwili, jak szalencie jaki bez krzty rozumu, wszedłem do środka. Jeszcze tuż za drzwiami ostatni podmuch rozsądku zawahał mną w tył i w przód. Lecz nozdrza wypatrzyły już wolny stolik przykryty czerwonym obrusem. Zająłem miejsce przy oknie, osuwając biel krzeselka oparciem w łuk łagodnym wygięte. Kelner nienagannym kantem czarnych spodni, fioletową kamizelką z żabotem, białym rękawem koszuli podał płachtę „Kuriera carskiego”. Rozpostarłem gazetę noga na nogę założona. Skąd wiedząc, bo przecież nie wiedząc, o głodzie kawy wiedeńskiej mną targającym, po niecałych pięciu minutach kelner przyniósł pachnący gorący napój bogów. Przypomniałem sobie z pierwszym łykiem kawy, tego wariata z pokoju siedemnastego, jak mu tam, Jana Sebastiana B. Nie mogąc spać (siostra przełożona twierdziła, że to od kawy) skomponował kantatę o kawie i co rano wykonywał prawykonanie wczuwając się we wszystkie dźwięki jednocześnie. Jeszcze jeden łyk i wróciłem do wiadomości ze świata, przeszedłem przez wiadomości lokalne, przejrzałem ogłoszenia o pracę – „w związku z odkryciem śmigła, oblatywacz od zaraz potrzeby- Bracia Wright Spółka z bardzo ograniczoną odpowiedzialnością”, wróciłem do wiadomości ze świata. Spojrzałem przez okno, normalny ruch uliczny nagle zaczął ustępować czarno ubranym gwardzistom maszerującym nieskazitelnie równym krokiem. Czarne mundury lśniły złowróbnie w słońcu. Równo śpiewali, niczym marionetki potrząsane sznurkami, otwierając usta i twardą pogardą zahipnotyzowanych zwycięzców obdarzając przechodniów.

*Dressed in black uniforms  
Dressed in black uniforms so fine  
We drank and killed to pass the time  
Wearing the shame of all our crimes  
With measured steps we walked in line  
We walked in line  
We carried pictures of our wives  
And number tags to prove our lives  
We walked in line  
Full of glory never seen  
We made it through the whole machine*

Przeszli wzniecając pył spod ciężkich podkutych butów, a ja zapytałem człowieka siedzącego przy stoliku obok.

- Nie słyszał Pan? - odpowiedział zagadnięty ze śladami kremu na śnieżnobiałych farbowanych wąsach finezyjnie, po carsku zakręconych na końcach. - Wojna, wojna w dalekiej Katalonii - czy mi się zdało, że zatarł aż wypielęgnowane dłonie sprzedawcy karabinów. - Wszystkie gazety od dwóch tygodni o tym piszą.

- Tak? - zdziwiłem się sam sobą, swoim zdziwieniem, oderwaniem od rzeczywistości, nieobecności w świecie równego marszu. Nadrobię, nadrobię, pomaszuję równo, pomyślałem usilnie całą potęgą tabula rasa. Aż się wzdrygnąłem myślą ową, uczynkiem i zaniedbaniem.

- Nie słyszałem - opowiedziałem po chwili, cicho, widząc niemal oczami wyobraźni jak mój rozmówca wymachuje z durną radością flagą białą krwistą. Odpowiedziałem ze skrucą jakby moim grzechem było nie uczestnictwo w tym szaleństwie narodowo społecznym.

Kawa jakoś stanęła w przetyku ciężarem, wezwałem kelnera, rachunek jak kubek zimnej wody. Zapłaciłem za kawę, za swoje jakieś niepohamowanie żądy tego symbolu z innego świata, resztkami rubli i kopiejek blaszanych wysupływanych z dziurawych kieszeni. Wariat, wariat plułem sobie w twarz. Wyszedłem na bruk zahaczając jeszcze wzrokiem wściekłości indywidualnej idących na śmierć. Nienawidziłem każdej armii, wszelkich uniformów. Nienawidziłem siebie za tę cholerną słabość dotychczasowej egzystencji. Teraz dopiero z całą siłą do mnie dotarło, jak nie cierpiałem tych garniturów, strojów służbowych, zależności i podległości. Dudnił mi w uszach ich marsz, czułem niemal fizycznie ich rozkazy i weryfikacje przydatności dla armii, banku, przydatności dla społeczeństwa, narodu, boga. Ale co mnie tam, jakaś wojna, zawsze jest jakaś wojna, zawsze ktoś wygrywa ktoś przegrywa, ktoś lepszy, ktoś gorszy... później się i tak okaże, że byli tylko mięsem armatnim jakiegoś ministra wojny, złotego cielca, boga w złocistej zbroi. Zresztą ... miałem, chciałem już odpędzić to ręką. Ale zastanowiła mnie cisza jaka zapadła na ulicy i ten nagły bezruch. Słońce nadal świeciło, wiał lekki wiatr, ciepły jak na tę porę roku, lecz wszystko inne zamarło. Jakby stopklatka w kamerze Andy'ego, wypłynęło ze mnie wspomnienie i wraz z tym obrazem wokół, tymi myślami, tym tak idiotycznym pozbyciem się

---

<sup>56</sup> Von Thronstahl - Dressed in black uniforms

ostatnich pieniędzy, zachwiało mną, zachwiało tą konstrukcją usilnie budowaną od rana. Już ..., gdy ręka ta, oznaka dezaprobaty dla maszerujących, dla siebie zakreśliła koło, opadła bezwiednie i świat niespodziewanie wrócił na swoje tory kolei żelaznej. Strząsnąłem z siebie mnie i to zjawisko, bez tłumaczenia, bez sprawdzania realności, bo i po co?

Skręciłem w prawo dochodząc do ulicy, gdzie tramwaj linii 43 powinien mnie zawieść pod wskazany na wizytówce adres, teraz tak silnie duszonej w zaciśniętej dłoni. Po długich minutach czekania nadjechał zgrzytając kołami o szyny żelazne, a ja uczepiwszy się metalowego uchwytu przy drzwiach, wskoczyłem na pierwszy stopień, objąłem drugą ręką wyżej stojącego człowieka próbując utrzymać równowagę. Wyrównałem ciało powiewające wiatrem na nierównych torach, oburącz wreszcie się łapiąc. Tramwaj zakreślił koło na Placu Wolności pod baczным okiem spiżowego Cara, spoglądającego z góry swego piedestału. Skręcił w Nowomiejską. W połowie tego wąwozu murem wzniesionym, czerwonym tramwajem przejechaliśmy pod kładką drewnianą otoczoną również drutem. Jak klatka dla zniewolonych zwierząt. Zniewolone zwierzę czy jestem czymś ponad to? A ty? A ty? Popatrzyłem po paltach na przygniecionych plecach tłoczących się wokół mnie. Wzdrygnąłem się na samą myśl miejsca, które mijaliśmy. Kładka była jedynym łącznikiem pomiędzy dwoma państwowymi szpitalami psychiatrycznymi. Po prawej był żeński, po lewej męski. Na mieście mówili, że kto tam trafił nie wychodził. Tak, to miasto służyło z psychiatrii. Przypomniałem sobie koszmar, czy też może rzeczywistość łuszczącej się brudem łazienki, cieknącej zewsząd beżowymi kroplami wody. Czy to sen czy doświadczenie miejsca zwanego Maison de Sante. I jadąc tak na ostatnim stopniu nie byłem wciąż niczego pewny, poza tym przeświadczeniem budowanym poranną tabulą rasa, iż muszę stanąć twarzą w twarz z Tarrem, z Fetherem, z tymi handlarzami złudzeń o setkach twarzy i wygarnąć im, zerwać z głodem tajemnie podsycanym. Ale jak długo można żyć nie będąc choć jednej, jedynej rzeczy pewnym. Nie, nie, przecież jestem pewien. Nie ważne, nie ważne, przymknąłem oczy, to nieważne, powtarzałem zaklinając rzeczywistość, tę rzeczywistość, aby trwała, trwała w pewności mojej ze świecącym wciąż słońcem, wiejącym lekko ciepłym wiatrem, ptakami, białymi gołębiami tam gdzie wysoko, a nie z czarnym krukiem na Pallady biustu scenie. Tramwaj jechał wąwozem ulicy, a ludzie rozglądali się trwożnie, a ludzie rozglądali się z obrzydzeniem po murach ciągnących się wzdłuż, wypatrywali czy jakiś dźwięk, krzyk niespodziewany nie zarazi ich swym szaleństwem, chorobą przeraźliwą.

Przejechaliśmy, a ci co mogli splunęli za siebie. Cześć ludzi wysiadła przy Rynku Bałuckim, dalej zrobiło się już trochę luźniej, wszedłem do środka, stanąłem przy oknie. Żadnej chmury, ptaki lecą na zachód, sznur żurawi czy klucz do nieznanych światów, ciepło słońca dostawało się przez szybę, przyjemnie grzejąc. Bujanie wagonu działało usypiająco. Przymknąłem oczy. Słońce wciąż świeciło, powidoki pod powiekami.

*Pociąg  
samotnej desperacji  
wznosił się wyżej i wyżej  
oplatając żelazne koła  
plątanią istnień podróżnych*

*minął Drohobycze - zagubione  
nad rzeką umarłych  
pożegnał dróżnika z lampą naftową  
obłokiem pary gwieździstym*

*nie teraz  
nie teraz  
turkotały podkłady obietnic  
miłosnych uniesień*

*wreszcie wysiadłem na początku lata  
w pierwszym upalnym dniu twego nadejścia  
na jedynym peronie wśród lasów  
szepczących twoje imię*

*stałaś  
osłaniając oczy  
przed słońcem palącym  
a trwożliwe serce  
przed przebłyskami rozumu*

*wyciągnąłem dłoń  
ty wyciągnęłaś swoją*

*a pociąg czekał trawiąc się niepewnością*

Spojrzałem na swoją dłoń zaciśniętą na obręczy krzeselka przede mną, koła tramwaju zgrzytały i wcale nie turkotały i wcale nie równomiernie.

Czy tam stałaś pełna niepewności? Czy tam stałem pełny niepewności? Miasto za oknem, pełne twardych, namacalnych kamienic i fabryk spowitych dymem i szaleństwem. Sen jakiś mnie naszedł - pomyślałem, choć tak realistyczny. A jeżeli ... nie sen, odrzuciłem, zaciskając jeszcze bardziej palce, aż biel skóry bezkrwista przemówiła.

- Bileciki do kontroli - przywołał mnie głos nade mną. Podniosłem oczy jeszcze nieprzytomnie otrzepując się z resztek snu. Stała tam postać mężczyzny nie za wysokiego. Sformułowanie rzucone przez tamtego powoli docierało czyniąc popłoch, wszak biletu żadnego nie miałem. Wzrok podnosiłem stopniowo od beżowych sandałów, poprzez spodnie w pepitkową kratkę, ku granatowemu mundurkowi zapiętemu pod szyję. Jego dłoń kręciła młynka srebrnym gwizdkiem na uwięzi.

- Nie mam - odpowiedziałem bojąc się spojrzeć wyżej, spojrzeć w twarz tamtego.

- A co trzyma w łapie? - zapytał jakby z pewnym rozbawieniem.

W mojej zaciśniętej pięści zalegała wizytówka z adresem gabinetu Doktora Tarr. Wyciągnąłem rękę z karteczką, podnosząc jednocześnie wzrok na jego oblicze.

- Jędrak Lohoycki?! - wykrzyknąłem nagle spowodowany tym odkryciem.

- Cicho - uśmiechnął się blado wąskimi ustami tamten rozglądając się z odrazą po zwróconych w naszą stronę twarzach pasażerów.

- Więc bilecik ma? - zwrócił się do mnie.

Podąłem, jednocześnie wstając z krzeselka. Przybliżyłem się do niego wyczuwając zapach fiołków, starając się jednocześnie zapanować nad telepaniem tramwaju. Przeczytał dokładnie.

- No widzisz masz bilecik. Znam, znam tego szarlatana i Profesora Fethera też. Przecież tam wszyscy trafimy.

Przypomniałem sobie, gdy jeszcze wieki temu biurko w biurko kancelaryjne siedzieliśmy odrabiając pańszczyznę na stażu. Te klitki urzędnicze na poddaszu i stukot pieczętek. I Jędrus łamiący wszelkie konwenanse i systemy, byle tylko się wznieść.

*Co by dał, aby być z czystym sumieniem homoseksualistą, artystą, kokainistą - w ogóle jakimś "istą", wszystko jedno jakim - nawet sportsmenom zazdrościł manii sportowej. A był tylko skomplikowanym umetafizycznionym masochistą<sup>57</sup>*

- Co ty tu robisz? W tym stroju? - wybełkotałem uświadamiając sobie jak dawno go nie widziałem.

---

<sup>57</sup> Stanisław Ignacy Witkacy - „Pożegnanie jesieni”

- Podróżuję - wzruszył ramionami - trzeba wszystkiego spróbować. Wszystkiego.

- Rozumiesz Panie de Cades, a może Józefie K? - wpił się palcami w palto moje - zresztą nie ważne. To nie jest już ważne. Jeżeli tam jedziesz.

Oddał mi bilecik. Tramwaj zazgrzytał przeraźliwie stając na przystanku. Jędrak spojrział jeszcze na mnie, tak jakoś nagle smutno, jakbyśmy mieli się ostatni raz widzieć. Przepchnął się przez ludzi i wyskoczył niemal w biegu. Chciałem go gonić, lecz tory widocznie w dół jaki musiały schodzić, bo czerwony pojazd przyspieszył. Zgrzyt. Zgrzyt. Zgrzyt.

Wysiadłem, na siódmym przystanku. Dalej za coraz rzadszą zabudową zaczynały się pola, łąki zżółkłe brudną zimą i ciemno ziemiste przestrzenie. Sprawdziłem adres z wizytówki mi danej. Od torów tramwajowych odchodziła prostopadle kocimi łbami ułożona aleja. Nad nią po obu stronach stare dęby stanowiły z konarów konstrukcję, która na wiosnę pewno zakwitnie listnym baldachimem. Wszedłem w tę drogę kałużnie błotnistą, by na końcu przez żeliwną bramę otwartą na oścież, na dziedziniec wejść. Stała tu secesyjna dwupiętrowa kamieniczka, ciężkie czerwone dachówki, szary tynk z wplątanymi pnączami bluszczu. Numer budynku się zgadzał. Odszukałem w spisie numer mieszkania. „Praktyka medyczna Profesor Fether, Doktor Tarr - Leczenie zaburzeń rzeczywistości”. Wszedłem na drugie piętro marmurowymi schodami, jakoś tak dziwnie falującymi w półcieniach, w pół słońcach przez okno witrażowe wpadających. Otworzyłem drzwi ciężkie, wysokie, z litego drewna myśli pewnych siebie. Drzwi z drzewa potężnego, o poskręcanych bólem liści gałęziach, co głęboko w ziemię miękką, tkanę uczuć korzenie ssące zapuściło.

„Są rzeczy znane i nieznanne, a pomiędzy nimi drzwi”<sup>58</sup>

Czerwone usta wypłynęły z białą tabletką na języku, wystawionym na wiatr i tysiące oczu wpatrzonych na tak wielu, wielu twarzach, zaległych w księżde. A usta ostrym czubkiem języka drgającym w słońcu powiedziały: wejdz

Wąska poczekalnia tonąc w niedoświetleniu pełna była ludzi. Już miałem wyjść, zamknąć te drzwi za sobą, uciec niepostrzeżenie, gdy z gabinetu na końcu korytarza wyłoniła się postać doktora.

---

<sup>58</sup> William Blake cytat

- O, wreszcie Pan dotarł - dostrzegłszy, krzyknął do mnie, jakby pojawienie się mnie było oczywistością wyczekiwaną - niech Pan siada i czeka, patrzy, ogląda – machną ręką i znikł za drzwiami.

Jedyne wolne miejsce, było przy starszej kobiecie czytającej, jak udało mi się dostrzec, jakieś wiersze. Usiadłem, zapytałem kto ostatni. Rękę podniósł mężczyzna, siedzący naprzeciwko, spojrzął na mnie rozbieganym spojrzeniem i wrócił do zapisywania czegoś w szarym zeszycie. Kiwnąłem mu jeszcze głową, dziękując tym, on jakby na ten gest rozpromienił się cały:

- Mogę Pana zapisać w swoim zeszycie? - zapytał wskazując na równy ciąg dwóch kolumn na szarej stronie.

- Mnie, po co? - wydukałem zaskoczony.

- Niech Pan spojrzy - podsunął mi pod oczy zeszyt - Mam już sto dwadzieścia siedem osób. Tyle osób mnie lubi.

- To, chyba Panu zazdroszczę ...

- Więc mogę Pana godność?

Podąłem mu, choć wydało mi się to dość absurdalne. Jakieś dziwne. Ale dlaczego nie sprawić mu przyjemności, wszak taki piękny mamy dzień, a ja wiedziałem po co tu jestem, ja tabula rasa poranka. Człowiek wpisał i nic już więcej nie powiedział. Wydało mi się, że zaczął zliczać ilość zapisanych wierszy, przesuwał powoli ołówek wzdłuż zapisanych stron. Skończył i zaczął na nowo. Kobieta obok podkreśliła coś i dopisała dwa zdania pod wierszem. Jej twarz się na chwilę rozpromieniła, przerzuciła stronę jedną czy dwie, wróciła z powrotem do wiersza, zapisując jakąś chyba liczbę obok bijącego pod tekstem serca. Rozejrzałem się po poczekalni, dwanaście, trzynaście osób.

Niektórzy patrzyli tępo przed siebie, inni sprawiali wrażenie jakby spali, wyłącznie pomyślałem, ale z pięć czy sześć osób, miało przed sobą na kolanach lub podnosząc do oczu mniejsze czy większe zeszyty. Jedni czytali, inni przewracali nerwowo strony, może czegoś szukając, dwie osoby cały czas coś usilnie w nich pisały. Mężczyzna siedzący pod oknem nagle wstał, drżącymi rękami zgniótł zeszyt, rzucił na podłogę, by po chwili podnieść i ze łzami w oczach rozprostowywać pogniecione strony. Przypomniałem sobie o moim zeszycie spoczywającym w kieszeni palta. „Dziennik obserwacji”. W tym momencie z gabinetu wyszedł mężczyzna, wysoki, tęgi, w złotych okularach na okrągłej twarzy otoczonej siwiejącą brodą.

- Jerzy? - poderwałem się z krzesła.

Odwrócił się, spojrzął.

- De Cades?! - wykrztusił zaskoczony. Padliśmy sobie w ramiona, jak starzy przyjaciele.

- Dobrze, że jesteś - odsunął się przypatrując mi się uważnie - musimy porozmawiać.

- Ja też ... mam tyle pytań.

- Ale nie teraz - położył mi dłoń na ramieniu - muszę ... coś załatwić, znaleźć, rozumiesz? - spojrzał jakoś nerwowo na drzwi gabinetu - pogadamy, ale nie tu.

- To jak ...?

- Odezwę się.

- Ale jak?

- Znajdę, bądź pewny.

Uściskał mi prawicę, jeszcze w drzwiach poczekalni, odwrócił się do mnie.

- Uważaj na siebie Darko, pamiętaj chyba nic nie jest tym czym się wydaje. Zaczynało już ściemniać, półmrok ogarniał zgromadzonych, gdy zostałem poproszony przez kobietę w białym habicie do gabinetu. Przechodząc obok niej, próbowałem zajrzeć w jej twarz skrytą w cieniu czepca, gdyż niejasna świadomość o znajomości z nią dopadła mnie, lecz już musiałem przekroczyć próg otwartych drzwi. Doktor Tarr siedział za biurkiem, elegancki grafitowy surdut dwurzędowy, granatowy foulard pod szyją, białe mankiety na stole podkreślały wypielegnowane dłonie spowiednika potępionych dusz.

- No i co Panie de Cades? - rozpoczął jak tylko usiadłem na wskazanym mi w milczeniu krzeselku.

- Warto było? - kontynuował Doktor nie czekając na moją odpowiedź. - Myślał Pan, że można tak wyjść? Opuścić nas? Opuścić Maison de Sante w trakcie obserwacji?

- Ale przecież, Pan Doktor sam, własnoręcznie ... - wyciągnąłem z kieszeni palta plik papierów, przekartkowałem nerwowo, nie mogąc znaleźć i czując jak cały mój poranny animusz wymyka się powoli - o tu jest wypis.

- Gdzie? Nie widzę? - spojrzał na moją wyciągniętą ku niemu pustą dłoń. Zapadła cisza liczona jedynie tykaniem wskazówek zegara. Odruchowo spojrzałem w cykanie, wskazówek nie było. Cofnąłem dłoń. Oprócz zwiniętego w rulon, pogniecionego szarego zeszytu utrzymanego w drugiej dłoni nie miałem nic. Na podłogę spomiędzy stron sfrunęła wizytówka.



- O, tu mam wizytówkę do Pana Doktora jaką otrzymałem od Dyrektora Banku - podniosłem kartonik szybko z podłogi, jednocześnie coś skręciło mnie na wspomnienie tamtego dnia.
- A tak, wiem. Sam Panu wysłałem tę wiadomość. Cieszę się, że ją Pan właściwie odebrał i do mnie przyjechał.
- Ale przecież nie musiałem. Mogłem wyrzucić do śmieci, zapomnieć.
- Tak, tak, oczywiście Panie de Cades. Wszystkim tak się wydaje. Nie musiałem przychodzić, nie musiałem wchodzić, zaglądać - uśmiechnął się tak jakoś dziwnie spoglądając na półki zastawione niezliczonymi rzędami książek twarzą, które teraz idąc za jego wzrokiem dopiero zauważyłem.
- Zresztą ja tu przyszedłem powiedzieć, że stanowczo rezygnuję z Pana Doktora i Profesora Fethera, że ... ja - mój głos zaczął niespodziewanie się załamywać, drżeć.
- Ja żądam wyjaśnienia ... - kontynuowałem czując jak coś mi podchodzi do gardła.
- Ja domagam się zwrotu portretu trumiennego mojego ojca! - zerwałem się z fotela.
- Wyjaśnienia, zrozumienia, moja matka, te głosy, słowa na ścianie, nie moje rysunki w zeszycie!! - zacząłem krzyczeć zduszonymi w sobie literami.
- Co wy ze mną robicie? - wyszeptałem, padłem z powrotem na fotel jak zdmuchnięty płomień świecy.
- Panie de Cades ... - zaczął Doktor Tarr po nieskończeniu długiej chwili - przecież Pan przyszedł do nas sam ...
- Nie - wyszeptałem żałośnie - nieprawda, wyście mi kazali.
- Tak samo jak dzisiaj? - zapytał.
- Panie de Cades, bardzo się cieszę, że Pan przyszedł - zaczął cedząc - mam dla Pana propozycję. Bo rozumiem, że póki co jest Pan, że tak powiem, bezrobotny?
- No ... tak - poczułem się zaskoczony.
- Dobrze, znaczy nie dobrze, ale co zrobić, takie czasy - zaczerpnął wąskimi ustami powietrza - z Profesorem Fether długo nad tą koncepcją dyskutowaliśmy. Mówiąc szczerze, mimo obserwacji Pana, mimo badaniom, nie mamy pewności czy Pan podoła.
- Ale czemu nie podołałem? - węszyłem podstęp, dlaczego, chyba zawsze gdzieś podskórnie czułem, że rozmowy z nim, czy z Profesorem, jakoś nigdy nie kończyły się dla mnie dobrze. Zresztą, przecież przed chwilą mu wygarnąłem prosto w oczy ...
- Bo widzi Pan, kiedyś, dawno temu - tu spojrział w rozłożone na stole notatki - a może wcale nie tak dawno - dodał po chwili, jakby sam sobą

zaskoczony - Maison de Sante miało swoją małą rozgłośnie radiową. Niewielką. Słyszalną wewnątrz murów i trochę w mieście, gdy wiatr wiał wystarczająco mocno, gdy wiatr zawiewał słowa, gdy wiatr wiał wystarczająco porywiście.

A ja usłyszałem gdzieś w głowie ten wiatr.

*And the wind blows still  
And the wind blows wild again  
For a little child can never kill this clean  
This way  
And it feels like me today  
Tell me  
Do you feel the same?<sup>59</sup>*

- Prowadził ją, jeden z naszych odwiecznych pensjonariuszy - zaczął po chwili Tarr, jakby czekając na moją reakcję na wiatr w moich myślach, choć przecież nie mógł go słyszeć, chyba ... - niejaki Tomasz B. Wyjątkowy człowiek. Oczywiście nie może się Pan porównywać, to wręcz niestosowne, nie ten talent, rozumie Pan?

- To znaczy Panie Doktorze? - nie rozumiałem o co mu chodzi.

- To znaczy, że poprowadzi Pan dalej zamarłe kiedyś transmisje.

- Ja?

- Tak, Pan.

- Ale ... - teraz sobie nagle skojarzyłem ten głos, tę audycję zasłyszana w knajpie owego feralnego dnia, co z okopconego dymem papierosów radia stojącego na półce we mnie weszła muzyką i słowami.

*Dort am Klavier  
Lauschte sie mir  
Und als mein Spiel begann  
Hielt sie den Atem an<sup>60</sup>*

I teraz też, tak siedząc niczym uczeń przed Doktorem Tarr, przypomniałem sobie siebie, jak w tajemnicy przed ojcem, w środku nocy, wystawiałem na parapet okna własnoręcznie skreconą z drutu antenę do

---

<sup>59</sup> Sisters of Mercy – 1959 (fragment)

<sup>60</sup> Rammstein - Klavier (fragment)

łapania wiatru, tych fal eterycznych unoszących się w podmuchach nie wiadomo skąd i lecących nie wiadomo gdzie.

*Can you feel the light  
The air is wild, open  
Oh you see the light,  
It's coming through  
It's there in the distance  
Always offered to me  
Always coming over a hill  
Yeah the seasons come in  
All the nights are woven  
All the nights we'll see them through  
Ahh no hundred men now  
Would dare cut into us  
We'll go on and see it through<sup>61</sup>*

Przypomniałem sobie siebie z uchem przyciśniętym do głośnika trzeszczącego radia. Przypomniałem sobie siebie spisującego przy migoczącej świecy zasłyszane słowa zamorskich grajków, przypomniałem sobie siebie tańczącego w ciemności do muzyki z radia.

*Radio - live transmission  
Radio - live transmission  
Listen to the silence, let it ring on  
Eyes, dark grey lenses, frightened of the sun  
We would have a fine time living in the night  
Left to blind destruction, waiting for our sight*

*We would go on as though nothing was wrong  
And hide from these days to remain all alone  
Staying in the same place, staying out the time  
Touching from a distance, further all the time*

*Dance, dance, dance, dance, dance to the radio  
Dance, dance, dance, dance, dance to the radio<sup>62</sup>*

---

<sup>61</sup> Peter Murphy - All night long (fragment)

<sup>62</sup> Ian Curtis / Joy Division - Transmission (fragment)

- Panie de Cades, słucha mnie Pan? - dotarło do mnie skądś, z odległego miejsca, pytanie Doktora.

- Ja ... tak, ale ...

- No to dobrze, że się rozumiemy. Tu są ... - wyciągnął z szuflady - klucze. Tu adres, stara wieża kościelna, tam mały pokój na szczycie krętych schodów.

- Ale ja się na tym nie znam - próbowałem coś powiedzieć, choć czułem, że klamka zapadła, również we mnie, również dla mnie.

- Panie de Cades, ja Pana widzę, ja Pana obserwuję. Nic się nie dzieje bez przyczyny. Zresztą pierwszego dnia podeślę tam kogoś, co Panu powie co i jak.

Popatrzył, zastukał palcami w biurko, obwieszczając tym koniec wizyty. Wtedy to, jakimś impulsem kierowany nagłym, nie rozumiejąc swoich słów toczących się krwią z ust białymi pęcherzykami pękającego powietrza pomiędzy wyrazami, padłem przed nim, na kolanach w oczach swych ujrzałem obrazy odrażające wszystkie naraz z Maison de Sante, wybuchły we mnie, jakby skorupa pękła, jakby niebo runęło odsłaniając przerażające przestrzenie nieistnienia.

*Panie Doktorze*

*co noc*

*może o świecie*

*czwarta godzina*

*rozkłada wskazówki zegara*

*robaki myśli*

*wpełzają w resztki snu*

*kłębią się w obrazach błędów*

*dźwiękach złudzeń*

*są nieustępliwe*

*i jeszcze coś w klatce*

*o tu*

*trzepocze*

Doktor Tarr potrząsnął kluczami do wieży, które przecież już w dłoni chwile temu trzymałem. Spojrzał, uśmiechnął się. W otwartej dłoni, jak na tacy srebrzystej, dwa zardzewiałe klucze podsunął mi pod serce trzepoczące.

*śmierć popatrzyła*

*uśmiechnęła się*

*tak jakoś do siebie  
wypisała receptę*